Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT • NR 47 (1835) • 21–27 listopada 2025

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

NIE

Romantyczni terroryści

str. 12–13

POCIĄG DO BUDAPESZTU KURSUJE BEZ ZAKŁÓCEŃ

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl bfc461547d

WOJNA DOMOWA

Doszło do rozlicznych aktów dywersji. W sobotę wieczorem pod Garwolinem dywersanci wysadzili tory. Tak nie do końca – później przejechały po nich jeszcze trzy pociągi, a może osiem. Pod Puławami złoczyńcy zerwali trakcję i wybili szybę, a kilkaset metrów dalej na torach znaleziono – tu cytat za Donaldem Tuskiem – „stalową obejmę, która miała prawdopodobnie doprowadzić do wykolejenia pociągu”, ale przejeżdżające składy rozjechały ją na miazgę. Co nie jest szczególnie zaskakujące, zważywszy, że masa samej lokomotywy to 80 do 170 ton, a takiego np. pociągu pendolino – koło 400. Co nie przeszkodziło czynnikom rządowym ogłosić, że mamy do czynienia z „robotą profesjonalistów” (Żurek) lub „dobrze przygotowanymi dywersantami”, którzy „tylko cudem nie osiągnęli swoich celów” (Sikorski). Według ustaleń „Rzeczpospolitej” profesjonaliści zostali zidentyfikowani dzięki karcie SIM w pozostawionym na miejscu telefonie, który miał nagrywać katastrofę – karta była wcześniej używana w wielu innych telefonach, z długą historią połączeń – i odciskowi palca.

Napięcie rosło jak u Hitchcocka. W poniedziałek rano premier ogłosił – na platformie X, bo gdzież by – że „niestety potwierdziły się najgorsze przypuszczenia”. Potem widzieliśmy obrazki z Donaldem Tuskiem na nasypie, jak z chmurną twarzą słuchał meldunków, a później jeszcze czterech ministrów (nie licząc Szłapki) stanęło ramię w ramię na konferencji prasowej, żeby zapewnić ludność, że rząd czuwa. Na czoło stawki twardzieli wyraźnie wysuwa się minister Żurek, który przypomniał, że „zagrożenie w przypadku aktów dywersji jest bardzo wysokie: od 10 lat wzwyż łącznie z karą dożywocia”. Min. Żurek chyba nie dostrzega komizmu swojego nabzdyczenia: dożywocie za wybrzuszenie na torach, bez rannych i zabitych – brzmi trochę abstrakcyjnie. Ale to nie koniec. „Nie będzie miejsca na Ziemi, gdzie taka osoba się ukryje” – twardzielił Żurek, radośnie ignorując fakt, że istnieje cała półkula południowa obojętna na polecenia kolektywnego Zachodu.

Ale tak naprawdę nie trzeba sięgać na południe – skoro za miedzą mamy największy kraj na świecie, czyli Rosję, a obok Białoruś. Zwłaszcza Białoruś, jak się okazuje. Nasze niezawodne służby donoszą, że sabotaż był wykonany na polecenie Rosji przez dwóch obywateli Ukrainy, Ołeksandra K. i Jewherija I. Jeden z nich był już skazany we Lwowie za dywersję w maju tego roku, ponoć zaocznie, ale nikt nas nie poinformował, że facet jest trefny, więc wjechał do Polski bez przeszkód. To się nie powtórzy – zapewnia premier – bo „ustaliliśmy dzisiaj z Wołodymyrem Zełenskim formy współpracy polskich i ukraińskich służb specjalnych oraz kolei państwowych. Celem będzie między innymi identyfikacja osób podejrzanych o współpracę z Rosją i zapobieganie aktom dywersji”. „Nowa forma współpracy z Ukrainą” – doniosła telewizji rządowa. Może – jeśli chodzi o kolesiów skazanych za dywersję na rzecz Rosji – można było stworzyć jakąś ich listę wcześniej niż po 3,5 latach wojny? Czy się czepiamy?

Wicepremier Sikorski wystąpił w sejmie i nakrzyczał na prezydenta Nawrockiego, że ten 11 listopada nie mówił źle o Rosji, tylko o Unii Europejskiej. „Pragnę uświadomić mniej doświadczonym posłankom i posłom, że nie tylko traktat o Unii Europejskiej, ale każdy z kilkuset traktatów, w których Polska jest stroną, ogranicza sygnatariuszom pole decyzji” – ogłosił Sikorski nieco protekcjonalnie i dodał przykład: „Małżeństwo też jest umową, swoistym traktatem. Wchodząc w stan małżeński, podejmujemy zobowiązania i uzgadniamy podział ról. Gdy żona prosi, abyśmy wynieśli śmieci lub posprzątali, kiedy akurat mamy ochotę wyjść z kolegami na piwo, to nie jest to ograniczenie wolności osobistej”… Odrywając się na chwilę od geopolityki: może ktoś by wytłumaczył Radziowi, że partnerski podział ról w małżeństwie nie polega na tym, że żona musi „prosić go”, żeby wykonał jakąś podstawową czynność w domu, w którym obydwoje mieszkają? Że mąż tym się różni od synalka licealisty, że sam wynosi śmieci, jak kosz jest pełny, i sprząta, jak jest burdel?

Włodzimierz Czarzasty został marszałkiem sejmu. Wygląda na uszczęśliwionego – co przypomniało nam opowieści o tym, jak promieniał Jerzy Wenderlich, kiedy dwa razy, we wrześniu 2014 i czerwcu 2015 r., w wyniku platformerskich roszad na stołkach, pełnił obowiązki pełnego marszałka i dumnie kroczył korytarzami sejmowymi w obstawie Straży Marszałkowskiej. Radość Czarzastego wydaje się tej właśnie miary. I nie psuje jej bynajmniej opozycja, wznoszącą okrzyki „Precz z komuną” – ani część sojuszników, którzy odkryli w sobie podobny żar emocji. Najbardziej ubawiła nas posłanka Buczyńska z Polski 2050 (rocznik 1986), która ogłosiła, że „dla niej historia pana Czarzastego jest bardzo trudna mentalnie”, bo ktoś, „kto jest byłym komunistą, nie powinien zasiadać na tym fotelu” po marszałku „tego formatu człowieka jak Szymon Hołownia”. Żeby udowodnić swój format człowieka Włodzimierz Czarzasty zakazał sprzedaży alkoholu w restauracjach i barkach sejmowych. Efekty będą dwa: gwałtowny wzrost obrotów w okolicznych sklepach z gorzałą oraz bankructwo legendarnego baru „Za kratą”. Decyzja Czarzastego nie powinna wszakże nikogo zaskakiwać. „W ogóle coś z alkoholem trzeba zrobić. Nie piję od 10 lat ze względu na chorobę serca, która w związku z tym się zakończyła i jest po prostu super” – ogłosił niedawno, przy okazji dyskusji o prohibicji w Warszawie. Myślicie, że gdyby Włodek nadal pił, pozwoliłby się napić innym?

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH



Listopad 2013 r.

Świętej Kariny

Większość ludzi chciałaby mieszkać w wielkim domu z licznymi wyjściami do ogromnego ogrodu. Pudel Azor od szczeniaka uważa, że tak wygląda więzienie, w którym on, nieszczęsny, odsiaduje dożywocie. Azor cały dzień czeka na regulaminowy spacer, czyli na kwadrans, gdy go wyprowadzają za ogrodzenie, na ulicę. Widocznie tam, gdzie biegają biedne psy, odnajduje zapachy wolności.

Świętego Geofroia

W całej aferze związanej z sześciolatkami (pies im mordę lizał) wielkie wrażenie zrobiły na mnie matki, zwolenniczki Elbanowskich. Po odrzuceniu przez sejm referendum zaczęły one wrzeszczeć, skakać, płakać na galerii dla publiczności. Matki, którym za Hitlera zabierano dzieci, żeby je zabić, reagowały spokojniej niż te, którym bachory chcą posłać rok wcześniej do szkoły. Czy to damskie emocje stały się w dzisiejszym pokoleniu wybujałe? Nie. W mordowni Treblinka nie było kamer telewizyjnych, a w sejmie 2013 r. i owszem.

Świętego Teodora

Julia Tymoszenko aż tak kocha Ukrainę, że musi nią rządzić, ale nie aż tak, żeby jej pomóc stowarzyszyć się z Unią Europejską. Mogłaby np. zrzec się obywatelstwa, gwarantując tym, że nie weźmie udziału w żadnych wyborach w jej kraju. W Polsce patriotka powinna się zabić, gdy Kozak chce ją zgwałcić, oddać też życie za dziewictwo ojczyzny. Do Tymoszenko nikt jednak nie zgłasza pretensji. Dla Kwaśniewskiego jest to po prostu jedna z dwóch kobiet, z którymi los każe mu się męczyć.

Świętego Leona

Na Kościół spłynął nowy dogmat wiary, mianowicie, że księża nie powinni rżnąć dzieci ani głupa w temacie pedofilii. Prasa laicka pilnuje nowej ortodoksji i stawia pod pręgierzem biskupów i proboszczów mówiących o pedofilii według starej ortodoksji, czyli że to złe dzieci podrywają sobie księży. Kościół zawsze bardziej zwalczał źle mówiących niż źle czyniących. Biada Michalikowi i jemu podobnym heretykom. Modlitwa księży do dzieciątka: „…i nie wódź mnie na pokuszenie. Amen”.

Nieświętych Weteranów

Dziennik „Fakt” z 9–11 listopada krzyczy: „I to ma być niepodległa Polska?! Wolność jest, ale sprawiedliwości nie ma, komunistom żyje się najlepiej”. Poczem podaje wysokość emerytur prominentnych postaci PRL. Rzeczywiście nie jest sprawiedliwe, żeby I prezydent III RP i zarazem generał najwyższej rangi pobierał tylko 6 tys. zł emerytury. Ja tytułowany „znienawidzonym rzecznikiem reżimu” eksponowany jestem jako pożeracz to 4100 zł, to – na innej stronie gazety – 4700 zł emerytury. Jaka jest prawda – nie wiem. Przez ponad 10 lat nie pobierałem – dodam – należnej mi emerytury, bo „życzliwy” towarzysz powiedział mi mylnie, że przy wysokich dochodach, jakie osiągam, nie należy mi się żadna emerytura. „Fakt” przeciwstawia nas łączniczce z powstania, której nie ma za co pochować. Pochówku nie uważam, proszę „Faktu”, za potrzebę życiową.

Świętego Kuby do Jakuba

Kuba Wojewódzki w swej osobie łączy mistrzostwo szołmena i aktora, autora, intelektualisty i znawcy w niektórych dziedzinach. Jest szpicem talentu i kultury oraz przedmiotem masowego uwielbienia. Większy skarb niż Wawel, szczególnie jeżeli uwzględni się zawartość katedralnych podziemi. We „Wprost” ukazał się atak na Wojewódzkiego. Jedyny zarzut: dużo zarabia i dokłada starań, żeby mieć pokaźne dochody.

Gdyby Wojewódzki nie miał pecha urodzić się w Polsce, ale np. w Stanach i nazywał się Jakub Federalny, zarabiałby 10 razy więcej, i to w dolarach. Mówi się, że „Wprost” staje się tabloidem, ale mało kto rozumie, co to znaczy. A znaczy to, że niekiedy dla pobudzenia zazdrości motłochu upodabnia się czepliwością do szmatławego dziennika „Fakt”. Cena gazety 1,70 zł. Po 10 groszy za jedną podnietę.

Świętego Christiana

W wigilię wigilii Kaczyńskiej miesiączki przypadającej 10 listopada zjadłem ostatnią czekoladkę E.pepsi Wedel, dawniej 22 lipca i Synowie com. Zapiłem butelką Stanislav 3/4 l (uwaga, tekst zawiera lokowanie produktów). Odtąd jestem na dwutygodniowej diecie, żrę styropian nazwany chlebem ryżowym, ptaka o nazwie indyk wymagającego miski, żeby go wyrzygać, gotowane ryby, warzywa z pary, a zapijam cieczami to z cynamonu, to z owoców bluźnierczo określanymi jako herbata. Celem jest późniejsze zbadanie mojego organizmu niezatrutego wódką, golonką i ostrygami. Na tej diecie cały dzień wypełnia mi jedzenie i wydalanie. Medycyna stara się wydłużać życie, ale bezrozumnie czyni je celem samym dla siebie. Sens życia na pewno nie tkwi w kupie po zmiażdżonych jagodach zdrowej jak szczyt klimatyczny.

Świętego Alberta

Sześciokrotnie czy ośmiokrotnie się zdarzało, że prominentny w PRL opozycjonista wchodził ze mną po 1989 r. w kontakt towarzyski i zawsze jego środowisko (sitwa) przywoływało go do porządku. Bardzo mnie to śmieszy, że byli wojownicy o wolność polityczną i poczynań osobistych trzymają się na krótkich smyczach. Gdy byłem w PRL dygnitarzem, także nie wchodziłem z nimi w ustosunkowania. Nie żeby był zakaz, tylko stałbym się politycznie podejrzany. Przestrzegano mnie też przed kontaktami z przedsiębiorcami prywatnymi. Tu już nie byłem zdyscyplinowany. Z tym tylko, że jeśli ująłem się za krzywdą któregoś, to już więcej nie chciałem go widzieć na oczy z lęku, że zechce się odwdzięczyć. W pilnowaniu, żeby solidaruchy nie fraternizowały się ze mną, znaczną rolę odgrywają ich żony. Zawsze zacieklej antykomunistyczne niż ich mężowie, którym miękną kręgosłupy, bo bywają ciekawi Urbana. Eksopozycja wymiera, a ja mam taką korzyść, że nie chodzę na ich pogrzeby, żeby żałobnikom nie robić obciachu. Wygodne jest życie komucha. ❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- Mieszkaniec Częstochowy nielegalnie przetrzymywał **niedźwiedzia brunatnego.** Tak samo było z Czarną Madonną na Jasnej Górze!
- Jak podaje fronda.pl, **Jeffrey Epstein** w jednym mailu wspomniał o Tusku. Tym samym Tusk dołączył do ofiar pedofila.
- **Krzysztof Rutkowski** zaoferował swoją pomoc w ściągnięciu Ziobry do Polski. Podczas tej akcji Zbyszkowi włos z głowy nie spadnie.
- W niedzielę papież **Leon XIV** zje obiad z ubogimi. Ubogim Kościół tradycyjnie serwuje czarną polewkę.
- **Marta Nawrocka** otwiera apolityczną fundację „Blisko Ludzkich Spraw”. Wystarczy parę romansów i będzie kolejna Królowa Ludzkich Serc.
- **Jarosław Kaczyński** skonstatował, że przeciwnicy PiS-u mają niewysoką inteligencję. Umówmy się, że Kaczyński też koła nie wymyślił.

MARTA M.



Rys. TOMASZ WIATER

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Do pierdla za „Lolka”

W odniesieniu do najnowszego materialu o JPII („Lolek i jego Tola”, „NIE”, nr 46/2025): czy przypadkiem ks. Stanisław, który olał publicznie znany testament swego przyjaciela, drukując, miast zniszczyć notatki, pod odpowiedzialność karną nie podpada? Karnistą nie jestem, ale coś tu nie gra...

Grzegorz Notecki

Nie ma ratunku

W numerze 46 „NIE” ukazał się świetny artykuł Tadeusza Jasińskiego „Oddychanie soją”. Okazuje się, że to my, Europejczycy, przyczyniamy się do dewastacji lasów deszczowych, importując z Ameryki Południowej miliony ton soi i oleju palmowego. Ta europejska walka z katastrofą klimatyczną (…) jest wielką ściemą. To my wyprowadziliśmy produkcję poza Europę, ale oczywiście importujemy większość towarów, które są produkowane dla nas bez żadnej kontroli jakości. (…) Sam jestem drobnym producentem. Moja kariera już się kończy. Na całe szczęście, bo nie jesteśmy w stanie konkurować z produktami spoza Europy. Chiny, Indie, Azja to są nasi zabójcy, a całą naszą politykę gospodarczą można śmiało nazwać samobójstwem. Ma Pan też rację, że jest nas za dużo, na naszej Ziemi. 8 mld ludzi to prawdziwa ekologiczna katastrofa.

Waldemar Szydłowski, Gdańsk

Zapomniał o korzeniach

Redaktor Gadzinowski nazywa prof. Cichosz „kłamczuchą” („Pierwszy milion Rymanowskiego”, „NIE”, nr 46/2025). Sam zapewne nie ma żadnych kwalifikacji, żeby ją oceniać. Więc robi to tylko dlatego, że prestiżowe, mainstreamowe usta powiedziały mu co innego. Być może Redaktor Urban przewraca się w grobie, bo Jego „NIE” powstało właśnie (…) z niezgody na jedynie słuszną wykładnię rzeczywistości. I dokładnie to samo robi prof. Cichosz. Szkoda, że Redaktor Gadzinowski zapomina o korzeniach.

Joanna

eprasa.pl bfc461547d

O mało co Czarnek skłoniłby mnie do polubienia Czarzastego

Kto nie komuch, ten kapuje

Zacznijmy od początku: afera Rywina była dęta. Nadął ją Michnik oburzony, że ktoś – czytaj Miller – nie chwyta w lot jego życzeń. Czarzasty – podówczas wąsaty i dość pokraczny – był jedną z twarzy tej afery; do tego stopnia, że Aleksander Kwaśniewski okrzyknął go „niewybieralnym". Kiedy dekadę później Czarzasty został eseldowskim baronem mazowieckim, wygrywając z Katarzyną Piekarską, ogłosił z nieukrywaną satysfakcją: „Niewybieralny już okazał się wybieralny, a nieomylny – omylny". Mniej więcej wtedy – pamiętam to dokładnie – poszedł do jakiegoś programu, który prowadziła red. Wielowieyska, i zamiast tłumaczyć się z „grupy trzymającej władzę", wyciągnął karteczkę, z której wyliczył wszystkie kłamstwa „GW" na swój temat.

Wyznam szczerze: byłam zachwycona. Oto jest komuch, co się Michnikom nie kłania. A także ich przyjaciołom, do których wtedy zaliczał się Kwaśniewski. Czarzasty wydawał mi się politykiem, który na zrodzony w trzewiach „Gazety Wyborczej" koncept, że lewicy „wolno mniej", odpowiadał niczym wujek Staszek Mistrz Ciętej Riposty: spierdalaj.

Co było później – wszyscy pamiętamy. Moim zdaniem winę za to ponosi głównie Donald Tusk, który roztacza jakiś syreni śpiew, uwodzący najbardziej niezależne jednostki. Kiedy Urban napisał, że woli słuchać Tuska niż Mozarta, to nie był tak do końca żart; podobnie jak pojawiająca się w książce Kamila Dziubki o „Kierowniku" opowieść o tym, jak to Tusk zainspirował Czarzastego do rozwalenia wewnątrzpartyjnej opozycji: „Wszedłeś na salę, gdzie w pierwszym rzędzie siedział facet, który rok wcześniej wziął 10 milionów głosów i on powinien wziąć tę partię z poparciem połowy narodu, a ty po prostu wszedłeś i powiedziałeś mu, żeby wypierdalał"… Interakcja między Tuskiem i Czarzastym może być osobiście partnerska – tak twierdzą ci, którzy ich obu znają – ale politycznie opiera się na wasalizacji lewicy przez przywódcę partii, która gospodarczo jest neoliberalna, a w sferze wartości dąży do autorytaryzmu pod hasłem „bezpieczeństwa". Krótko mówiąc: człowiekowi lewicy trudno dostrzec w Czarzastym jakiekolwiek zakamarki bratniej duszy.

I oto w debacie nad rotacją marszałkowską wyszedł niezastąpiony Przemysław Czarnek i zamiast mówić o wszystkich błędach tego rządu – za które Czarzasty ponosi odpowiedzialność w tym samym stopniu co Tusk, Kosiniak-Kamysz i Hołownia – wskrzesił ducha Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. I Generała.

„Różnica między nami polega na tym, że ja pana gen. Jaruzelskiego uważam za postać, którą cenię, a pana płk. Kuklińskiego uważam za zdrajcę" – wypomniał Czarzastemu cytat. I jeszcze dołożył „80. rocznicę odsłonięcia pomnika Czterech Śpiących – bohaterów Armii Radzieckiej, komunistów".

„Być może właśnie dlatego to dzisiaj, w 80. rocznicę, mamy wybrać Włodzimierza Czarzastego, który mówi o Kuklińskim, że to jest zdrajca, a o Jaruzelskim, komunistycznym zbrodniarzu, mówi, że to jest człowiek, do którego on ma szacunek" – tokował Czarnek, wypominając Czarzastemu także to, że powiedział kiedyś, iż „sowieccy żołnierze wyzwalali również Polskę". I na koniec ogłosił: „Panie Czarzasty! Komunisto! Bo tak się pan nazwał. Komunizm jest zabroniony konstytucyjnie".



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Ten sam ton obowiązywał w okrzykach z sali, gdzie różni kolesie, którzy za PRL siedzieli cicho albo dopiero się rodzili, skandowali radośnie „Precz z komuną". A także w adresowanych do nowego marszałka pytaniach pisowskich mediaworkerów o to, czy „jest dumny ze swojej komunistycznej przeszłości"…

Cały ten wytrysk antypeerelowskiej szczujni był doskonałą okazją do tego, żeby pokazać jaja. Żeby powiedzieć Czarnkowi, iż Wojciech Jaruzelski był najwybitniejszym Polakiem XX w.

– który nie tylko ocalił Polskę przed hekatombą radzieckiej interwencji w 1981 r., ale także przeprowadził ją pokojowo do demokracji w 1989. Że „czterech śpiących" był to odlany ze zdobycznej niemieckiej amunicji pomnik, do którego pozowali żołnierze frontowi, autentyczni zdobywcy Berlina. Że 600 tys. żołnierzy Armii Czerwonej zginęło na terenach obecnej Polski w walkach z hitlerowcami – i że dzięki nim powstał kraj, w którym dzieci chodziły po polskich szkół, a na znaczkach pocztowych było napisane „Polska". I że trzeba być kompletnym historycznym debilem, żeby nie rozumieć geopolitycznych realiów tego czasu.

A także, iż polska konstytucja w art. 13 zakazuje „istnienia partii politycznych i innych organizacji odwołujących się w swoich programach do totalitarnych metod i praktyk działania", m.in. komunizmu – ale o ideach i wartościach płynących z komunizmu nie mówi nic. Mówi za to wprost o „nienawiści rasowej i narodowościowej", którą wszak przesycony jest zarówno program PiS, jak i wypowiedzi jego liderów – z pamiętną opowieścią Jarosława Kaczyńskiego o pierwotniakach w organizmach uchodźców na czele.

Słowem: można było powiedzieć Czarnkowi i jego kamratom, żeby wypierdalali. Tak jak pięknie mówi to Donald Tusk. Polska Rzeczpospolita Ludowa była państwem uznawanym przez cały świat, podniosła kraj z powojennych ruin, zlikwidowała analfabetyzm, bezrobocie, bezdomność, przeprowadziła industrializację i awans społeczny na nieprawdopodobną skalę. Polska Zjednoczona Partia Robotnicza miała w swych szeregach trzy miliony Polaków, wielu z nich zaangażowało się w budowę III RP, jeden był prezydentem, czterech premierami – i nikt nie odebrał im praw obywatelskich.

Zamiast tego marszałek ogłosił, że „student Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Włodzimierz Czarzasty" reprezentował w PZPR „nurt, który uważał, że powinna być liberalizacja" i bez niego nie byłoby okrągłego stołu. Oraz że przyjaźnił się z Kaczmarskim i wydał jego pierwszą książkę po powrocie z Australii.

Żeby odwołać się do stylistyki modnej w obecnej elicie rządzącej: wypierdalaj.

Miękka fajo.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Sto stron Hołowni

Dwa lata zapanbrata

Szymon Hołownia oddaje laskę Włodzimierzowi Czarzastemu. Aż trudno uwierzyć, że był marszałkiem zaledwie dwa lata, bo perypetii, zawirowań, wzlotów i upadków miał tyle, że wielu nie zdoła uzbierać przez kilka pełnych kadencji. Przypadek Hołowni idealnie nadaje się na studium współczesnego polityka, którego karierą rządzą tradycyjne oraz nowoczesne media. Zaś miłość lub nienawiść społeczeństwa do niego zależy od humoru i intryg dwóch głównych graczy na scenie politycznej.

Ma talent

Po dwuletniej półkadencji w fotelu marszałka przyszedł czas na podsumowania. Hołownia wyszedł z założenia, że nikt go nie pochwali, jeśli on sam tego nie zrobi, a znając jego słabość do własnej erudycji – na pewno stwierdził, że nikt tego nie zrobi lepiej niż on. Skoro już zamarzyło mu się szukać nowej roboty, to po kosztach – a właściwie na nasz koszt – wyfasował sobie CV przygotowane przez Biuro Komunikacji Społecznej Kancelarii Sejmu. Dzieło „Sejm bez barierek" wyszło zarówno wirtualnie, jak i w papierze, dzięki Wydawnictwu Sejmowemu. Oficjalnie nazwano to raportem, ale przecież wystarczy przetłumaczyć na angielski – i życiorys z podaniem do ONZ jak znalazł. Oczywiście nikt tego nie przeczyta, ale ponad 100 stron dwuletniego tylko dorobku zrobi wrażenie w międzynarodowych gremiach. Skoro Szymon lata sobie po świecie za nasze w poszukiwaniu pracy, to czemu nie mielibyśmy mu zafundować profesjonalnej pomocy przy pisaniu CV?

Gadane i pisane to Hołownia ma – chyba przynajmniej w tym punkcie panuje zgoda, o którą eksmarszałek tak zabiega. Nie dziwi więc, że „Sejm bez barierek" otwiera 10-stronicowy esej Szymona Hołowni o tym, na czym się zna najlepiej, czyli o Szymonie Hołowni. Tytułowe barierki, czy raczej ich brak, są – w opowieści Szymona – symbolem jego rządów w izbie niższej. Mają one fizyczny desygnat: zaraz na początku kadencji sprzed budynku sejmu zostały usunięte postawione za PiS barierki. Lubujący się w symbolach i przenośniach Hołownia widzi to w szerszej perspektywie. „Moim celem było bowiem uczynić z tego jednorazowego gestu stałą zasadę: obywatelki i obywatele, o ile nie naruszają prawa, mają być w Sejmie mile widziani, ponieważ są przy Wiejskiej pracodawcami, a nie gośćmi". Potem jeszcze barierki incydentalnie – na prośbę policji – się pojawiły w styczniu 2024 r. Pisowcy komentowali to wówczas złośliwie, ale naonczas Hołownia był dla nich „marszałkiem rotacyjnym", a nie – jak po kolacji z Kaczyńskim u Bielana – „szanownym panem marszałkiem". Krytyczni wobec marszałkowego entuzjazmu są dziennikarze sejmowi, którzy wypominają uszczypliwie, że dla pismaków zasady w większości pozostały pisowskie, i miejsca przez kaczystów zamknięte takimi pozostały. Wywodzący się ze środowiska dziennikarskiego Szymon Hołownia doskonale wie, że politykowi mniej straszny górnik czy pielęgniarka niż mediaworker.

Mrożonki

Największą chlubą Hołowni jest usprawnienie procesu legislacyjnego i włączenie w tenże obywateli. Rozpisuje się o tym w swoim eseju, a na dowód daje merytoryczny aneks „Lepsze prawo" przygotowany przez fachowców z Sekretariatu Posiedzeń Sejmu, Biura Komisji Sejmowych oraz Biura Ekspertyz i Oceny Skutków Regulacji. Takich aneksów jest pięć: tabelki, wykresy, zestawienia – wszystko świadczy na korzyść „marszałka rotacyjnego", ale przecież raport pisany na zamówienie na tym właśnie polega. Hołownia miał zresztą ułatwione zadanie, bo przyszedł po PiS-ie, więc każdy powrót do względnej normalności poczytany mu jest jako zasługa. Naturalnie na drodze do powszechnej szczęśliwości stoją pisowscy prezydenci, którzy wetują na oślep, więc na wszelki wypadek koalicja rządząca nie przygotowywała nawet ustaw, o których wiadomo było, że zostaną odstrzelone przez głowę państwa. Jak w finale „Scooby Doo": „Wszystko by mi się udało, gdyby nie te wścibskie dzieciaki i ten ich głupi kundel".

Założyciel Polski 2050 chełpi się, że za jego czasów w odstawkę poszła sejmowa zamrażarka: „Przez pierwsze dwa lata tej kadencji do pierwszego czytania na plenarnym posiedzeniu Sejmu skierowałem 38 projektów ustaw złożonych przez kluby opozycyjne. Do »zamrażarki« nie chowałem także inicjatyw prezydenckich. Dla porównania – w ciągu całej poprzedniej kadencji ugrupowania opozycyjne mogły zaprezentować swoje projekty w Izbie zaledwie ośmiokrotnie" – wylicza. Tu znowu kłania się tło: Hołownia siadł w fotelu wygrzanym przez Elżbietę Witek, która mroziła wszystko, co nie miało błogosławieństwa prezesa. Także powszechne pochwały dla marszałkowskiej kultury i luzu łatwiej zrozumieć, gdy wspomnimy, że za poprzedników Hołownia miał Witek i Kuchcińskiego, a wcześniej choćby Komorowskiego czy Kopacz.

Sejmflix

Szymon ruszył jako marszałek z kopyta, czyniąc z obrad sejmu wydarzenie popkulturowe, w sieci znane jako „Sejmflix". Youtube'owy kanał sejmu przeżył oblężenie, zwielokrotniła się liczba subskrybentów, kolejne posiedzenia oczekiwane były jak premiera sezonu hitowego serialu. Na zorganizowany przez Michała Marszała w Pałacu Kultury kinowy seans sejmowy biły tłumy, które w jego trakcie (seansu, nie Marszała) reagowały żywiołowo, klaszcząc, śmiejąc się i gwiżdżąc w odpowiednich momentach.

„Dołożyłem wszelkich starań, aby deeskalować sytuację w Sejmie i sprawić, by stał się on miejscem merytorycznych sporów, debat i rozmów na poważne tematy. Bardziej agorą, na której rozstrzygamy istotne dla naszej wspólnoty kwestie, niż areną walki czy teatrem politycznym" – pisze eksmarszałek we wstępnym eseju „Sejmu bez barierek". To chyba najmniej wiarygodna przechwałka, choć niekoniecznie jest to zarzut.



Ilustr. PAWEŁ FERENC



Hołownia zrobił z sejmu teatr par excellence: posłowie na wyścigi pchali się do mównicy z bon motami i ripostami, a sam marszałek starał się mieć zawsze ostatnie, zabawne słowo.

Popularność transmisji obrad w internecie sprawiła, że parlamentarzyści nie muszą się już bić o uwagę dziennikarzy i nagrywać setek dla telewizji, żeby zaistnieć w mediach. Wystarczy rzucić coś z sejmowej ambony i zrobić z tego viral. Czy to korzystne dla demokracji i Polski? Różnie mówią. Powracający z niebytu Piotr Najsztub na potrzeby projektu badawczego przepytał wybranych po raz pierwszy parlamentarzystów, co zrobić, żeby zwalczyć polaryzację w sejmie. Niemalże jednogłośnie odpowiedzieli, że po pierwsze należy wyłączyć kamery na sali plenarnej. Pieniądz lubi ciszę, a ciężka merytoryczna praca nie lubi kamer.

Barwna postać w pasiaku

Na odchodne Hołownia najwięcej ciepłych słów usłyszał od polityków opozycji. Oryginalny komplement zaserwował mu jego biesiadny kompan Jarosław Kaczyński. – Bardzo barwna postać, skoro odchodzi, to warto w takich sytuacjach powiedzieć coś dobrego, takie są obyczaje – stwierdził prezes. Należy docenić, bo zawsze mógłby przecież powiedzieć: „Odszedł i dobrze". Uśmiechnął się, a mógł zabić.

Balansując na linie, Hołownia boleśnie spadł na jaja, których mu nie raz brakowało – nie tylko, gdy płakał nad konstytucją. Odchodzi w niełasce u dawnych kolegów, która odbija mu się prokuratorską czkawką. Z jednej strony maglowany jest na okoliczność „zamachu stanu", z drugiej zaś węszą przy nim z powodu związków z Collegium Humanum. Byłoby doprawdy zachwycające, gdyby stał się jednym z niewielu, albo zgoła jedynym, któremu po odebraniu PiS-owi władzy zostaną postawione konkretne i poważne zarzuty ukoronowane prawdziwym wyrokiem.

Co będzie, to będzie, ale Hołownia przynajmniej zachowa sobie książeczkę pamiątkową, która może się dla niego wkrótce okazać pocztówką z czasów świetności.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

eprasa.pl bfc461547d

Rzecz o subtelnościach

Czyli moralność Nawrockiego

Jak tak patrzę na tego Nawrockiego, który się tak szarogęsi i nadyma jak jaki ojciec narodu, Piłsudski niemalże, to trochę mi się zbiera na śmiech, trochę na wymioty, a trochę się jednak boję. Ten człowiek najwyraźniej ubzdurał sobie, że skoro ludzie go wybrali, to ma prawo rządzić Polską niczym jakiś nadrząd. Jak gdyby w polskim ustroju rola prezydenta była taka jak we Francji czy USA. A dlaczego może sobie coś takiego w ogóle roić? Nie on pierwszy zresztą, bo Wałęsa miał podobne zakusy.

Otóż wszystkiemu winny jest naiwny idealizm twórców polskiej konstytucji, którzy pisali ją w założeniu, że prezydentami będą ludzie honoru, którzy nie nadużyją władzy tylko dlatego, że za takie nadużycie nie jest przewidziana żadna odpowiedzialność prawna. No i wpisali do tej konstytucji kilka obowiązków prezydenta, nic nie wspominając o karze za ich niedopełnienie. I tak „prezydent mianuje", „prezydent powołuje", „prezydent nadaje tytuł", zamiast „prezydent zobowiązany jest mianować, powołać, nadać". I potem taki Duda z Nawrockim naprawdę myślą, że mogą czegoś tam sobie nie podpisać, bo kto im co zrobi? No, nikt. Bo to się miało niby samo przez się rozumieć, że prezydent ma jakiś honor i poczucie obowiązku, a nie jak pierwszy lepszy łazęga myśli, że jak nie ma ochroniarzy, to se coś zajuma i mogą mu wszyscy skoczyć.

Prezydent RP to znacznie więcej niż funkcja reprezentacyjna. Ma realną władzę, ale negatywną – może coś zatrzymać, lecz niewiele może uruchomić. Ma wprawdzie inicjatywę ustawodawczą, lecz działa ona wyłącznie wtedy, gdy jego środowisko polityczne ma akurat większość w parlamencie. W duchu konstytucji rola prezydenta jest po pierwsze honorowo-prestiżowa (głowa państwa), a po drugie kontrolująca – prezydent jako strażnik konstytucji pilnuje, żeby ustawy były z nią zgodne, wetując bądź kierując do Trybunału Konstytucyjnego ustawy pod tym względem wadliwe. Pozostałe ma podpisać, niezależnie od tego, czy mu się podobają, czy nie. W żadnym wypadku nie powinien odmawiać podpisu z innych niż prawne (konstytucyjne) powodu, bo nie jego rzeczą jest rządzić, a parlament nie może być jego zakładnikiem ani „gospodarstwem pomocniczym". Podobnie jest w przypadku nominacji sędziowskich, profesorskich i innych. Prezydent musi je podpisywać i jest to jego urzędniczy obowiązek. Bo poza wszystkim jest też urzędnikiem państwowym, który ma swoje urzędowe i urzędnicze obowiązki. Różnica w stosunku do innych urzędników polega jedynie na tym, że za ich niewypełnianie prezydent nie może zostać zdymisjonowany. Nie zmienia to faktu, że w tysiącach przypadków jego podpis jest po prostu wymagany prawem, a to wymaganie stwarza po jego stronie zwykły urzędniczy obowiązek. Podpis prezydencki ma tu zresztą cel honorowy i prestiżowy, służąc potwierdzeniu znaczącej państwowej rangi nominacji.

No i tu właśnie zaczyna się podwójny dramat. Taki Nawrocki – człowiek prosty o grubo ciosanym i podlewanym pychą umyśle – nie do końca rozumie, że nawet jeśli nie ponosi żadnej kary, to i tak nie wolno mu robić wielu rzeczy, a zwłaszcza wstrzymywać nominacji czy wetować ustaw zgodnych z konstytucją. Ponadto

nie rozumie, że pomimo wygranej w wyborach powszechnych oraz tytułu głowy państwa nie może uzurpować sobie prawa do rządzenia, a więc na przykład przepytywać urzędników rządowych czy wydawać im poleceń. To naprawdę ważne: ludzie pokroju Nawrockiego takich subtelności po prostu nie łapią.

Dla nich skoro coś jest wykonalne i możliwe bez ryzyka poniesienia konsekwencji, to po prostu jest w pełni dopuszczalne. Nie ma żadnych względów moralnych – są tylko czyny możliwe i niemożliwe, karalne i bezkarne.

A druga część dramatu jest taka, że podobnie jak Nawrocki myślą (a raczej nie myślą) jego zwolennicy. W ich własnym pojęciu wybrali go, aby ich reprezentował i rządził w ich imieniu. Tak, rządził! Przecież nie wiedzą, że prezydent nie rządzi. Zresztą czyż nie obiecywał tysiąca rzeczy w kampanii wyborczej? No to nie dziwota, że teraz domaga się ich uchwalenia, a to, co mu nie pasuje, to i wetuje.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

W życiu moralnym bardzo wiele jest takich frustrujących sytuacji, gdy zło i niesprawiedliwość wynikają po prostu z niedostatków intelektualnych – ludzie coś sobie wyobrażają i myślą, że to święta prawda. Albo nie rozumieją, jak coś działa i czemu służy – na przykład, czym jest demokratyczny rząd i jaka jest rola poszczególnych organów konstytucyjnych. Inny dojmujący przykład to spór o krzyże w szkołach i urzędach. Niby to proste, dlaczego nie powinny wisieć w publicznych miejscach podległych władzy państwowej. Przecież oznacza to, że ta władza w jakiś sposób wyróżnia chrześcijaństwo, podczas gdy konstytucja tego zakazuje. A jednak dla wielu zwykłych ludzi to po prostu atak na Kościół, zaś o konstytucji i wymogach związanych z respektem dla jej przepisów po prostu nic nie wiedzą i wiedzieć nie chcą. To jest dla nich zbyt abstrakcyjne i pozbawione emocjonalnej siły. W konsekwencji zaś całkiem niewiarygodne.

Nie ma dobrego sposobu, aby w krótkim czasie naprawić życie moralne za pomocą jakiejś intelektualnej kroplówki. Mówisz, tłumaczysz, jak komu dobremu, a to jak grochem o ścianę rzucać. Ściana stoi i ma się dobrze. A jednak… Nieustające cierpliwe powtarzanie prostych rzeczy, na przykład takich, że prezydent ma pewne obowiązki urzędnicze i musi składać różne podpisy, mimo że wcale mu się nie podoba to, co podpisuje, albo że zdjęcie krzyża służy wypełnieniu powinności konstytucyjnej i nie ma nic wspólnego z promowaniem ateizmu, po wielu latach odnosi skutek. A dowodem na to najbardziej rozwinięte i najstarsze demokracje, gdzie pewne rzeczy dawniej całkiem nowe stały się oczywistością. Cierpliwość jest wielką cnotą u tych, którzy pragną zmieniać świat!

JAN HARTMAN

Państwo

Rząd chce wspierać tak, żeby nie wesprzeć

Rząd wrzucił na bęben prac sejmowych długo wyczekiwaną ustawę o asystencji osobistej dla osób z niepełnosprawnościami (AOON). Niestety, przy okazji przetrącił jej kręgosłup. Co gorsza, całkiem umyślnie.

Zwiastowanie

Dobrą nowinę na portalu X obwieścił Adam Szłapka, pisząc, że osoby z niepełnosprawnościami dostaną 20–240 godzin wsparcia miesięcznie, asystenci 49–55 zł za godzinę pracy, a program ruszy w 2027 r. Do wpisu z dumą dołączył hashtag Robimy Nie Gadamy. Ustawa o asystencji dla osób z niepełnosprawnościami była jednym ze 100 konkretów na 100 dni rządów Koalicji Obywatelskiej, który zamienił się w oślizłą kiełbasę wyborczą. Projekt ustawy trafił do wykazu prac legislacyjnych rządu dopiero w listopadzie 2024 r., gdzie przekiblował aż do końca października roku bieżącego. Rada Ministrów po konsultacjach międzyresortowych z m.in. Ministerstwem Finansów w końcu postanowiła przełknąć legislacyjną żabę, ale zamiast entuzjazmu doprowadziła środowisko osób z niepełnosprawnościami i zrzeszone wokół niego organizacje pozarządowe do wkurwu. Jeśli się wczytać w projekt ustawy, trudno się dziwić jednym i drugim.

AOON to usługa wsparcia dla osób z niepełnosprawnościami, polegająca na pomocy w codziennych czynnościach obywatelom, którzy z powodu deficytów w zdrowiu nie mogą ich samodzielnie wykonać. Asystent miałby wspomóc w ubieraniu się, wykonywaniu zabiegów pielęgnacyjnych, przemieszczaniu się po mieście, robieniu zakupów czy wykonywaniu pracy zawodowej. Asystent osobisty nie jest opiekunem ani pielęgniarzem. Jest wsparciem, które pozwala wyrwać OzN z więzienia czterech ścian i przywrócić jej niezależność.

Osoby z niepełnosprawnościami i szereg organizacji (m.in. Fundacja Instytut Niezależnego Życia, Stowarzyszenie Niepełnosprawni dla Środowiska, Koalicja na rzecz Asystencji) od lat walczyły o model oparty na ich postulatach. Te były klarowne. Program miał objąć wszystkie grupy wiekowe niezależnie od stopnia niepełnosprawności. W myśl zasady „asystent to moje ręce i nogi – na moich zasadach" to w gestii beneficjentów AOON miał leżeć wybór asystenta, zakres czasu jego pracy i zadań do wykonania. Z końcem października stało się jasne, że rząd ma inną wizję w obszarze systemowego wsparcia OzN, ich rodzin, opiekunów osób niesamodzielnych i niepełnosprawnych seniorów.

Batożenie

Mechanizmy kierowania usługą i wyboru asystenta przez OzN zostały w projekcie ustawy wykastrowane. Kompetencje te z pominięciem potrzeb samych zainteresowanych powierzono pośrednikom w postaci jednostek powiatowych lub certyfikowanych organizacji pozarządowych. Co prawda osoba z niepełnosprawnością może wskazać preferowanego kandydata (np. znajomego), ale ten musi przejść przez sito formalnych i skomplikowanych procedur weryfikacji i zatrudnienia przez podmiot publiczny lub NGO, nawet jeśli wcześniej współpracował z osobą niepełnosprawną i zgrał się z rytmem jej życia. Z nowych przepisów wynika, że kandydat na asystenta będzie musiał zaliczyć obowiązkowy kurs (w wymiarze 40–60 godzin) obejmujący wiedzę o niepełnosprawnościach, etyce wsparcia, bezpieczeństwie i prawach użytkownika organizowany przez certyfikowane podmioty. Szkolenie będzie zakończone egzaminem. Do kompletu trzeba będzie machnąć kurs pierwszej pomocy i ewakuacji (ok. 20–30 godzin) oraz indywidualny instruktaż pod okiem specjalisty. Czas szkoleń i koszt (nawet jeśli są częściowo refundowane) to bariera dla osób pracujących na etacie lub bez motywacji finansowej. Dla wskazanych prywatnie kandydatów, którzy nie planują kariery w opiece, to tygodnie edukacji zamiast prostego kontraktu.

Nawiasem mówiąc, beneficjent programu nie poszaleje ze wskazaniem osoby prywatnej, bo ustawa wyklucza możliwość dopuszczenia na stanowisko asystenta osób spokrewnionych z OzN. Jeśli więc małżonek lub brat opiekował się bliskim, państwo, zamiast zaktywizować go zawodowo w tym obszarze, wybierze człowieka z ulicy, który tygodniami będzie się uczył potrzeb podopiecznego. Logiczne? Nie. A to dopiero preludium teatru absurdów.

Ociosanie

Mocno od oczekiwań osób z niepełnosprawnościami rozjechały się rządowe kryteria, jakie trzeba spełnić, żeby na pomoc asystenta zasłużyć. Aby załapać się do programu, należy wykręcić 80 punktów w skali niepełnosprawności (na 100) od lekarza orzecznika. Tym samym Polska udowodni, że

osoby niewidome nie potrzebują pomocy asystencji osobistej, bo te zwykle łapią się na niższą punktację. Jeśli komuś urwie nogę w wypadku, również nie otrzyma pomocy asystenta w nawet najmniejszym wymiarze godzin. Z programu zgrabnie abortowano osoby w wieku 65 plus.

Zgodnie z zapisami ustawy osoby po ukończeniu 65. roku życia mają być uprawnione do korzystania z AOON tylko pod warunkiem, że prawo do tej usługi nabyły przed przekroczeniem tej granicy wiekowej i wyłącznie do upływu okresu, na który została wydana decyzja ustalająca prawo do asystencji. Żeby było bardziej bezczelnie, w art. 3 projektu znajduje się informacja, że jego celem jest udzielanie osobom z niepełnosprawnościami wsparcia umożliwiającego niezależne życie, zgodnie z art. 19 Konwencji o prawach osób niepełnosprawnych. Art. 19 wspomnianej konwencji stanowi zaś, iż państwa strony konwencji uznają równe prawo wszystkich osób niepełnosprawnych do życia w społeczeństwie – wszystkich, czyli bez różnicowania z powodu wieku.

MÓŻDŻEK TYGODNIA

11 listopada, niemiecka stacja telewizyjna ZDF, audycja Markusa Lanza. Tino Chrupalla, współprzewodniczący AfD (po polsku: Alternatywa dla Niemiec) mówi, że Polska, a nie Rosja stanowi zagrożenie dla Republiki Federalnej Niemiec. Wrzuca również kilka ciepłych słów o Putinie.

16 listopada, polska stacja telewizyjna Polsat News, audycja Bogdana Rymanowskiego. Krzysztof Bosak, przewodniczący Ruchu Narodowego i jeden z dwóch liderów Konfederacji, zagadnięty o antypolskie i prorosyjskie wypowiedzi Chrupalli oraz o to, że Konfederacja kolaboruje z AfD w Parlamencie Europejskim, odpowiada, że do współpracy dochodzi w europarlamencie, a Chrupalla jest przecież deputowanym do Bundestagu.

Nie wiemy, które zjawisko jest gorsze: antypolski neofaszysta z Niemiec czy durny narodowiec z Polski.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl bfc461547d

niepełnosprawne opiekuńczo



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Przyłapany na jawnej dyskryminacji rząd wykręca się sianem zamiaru wprowadzenia bonu senioralnego (pakietu usług opiekuńczych finansowanych przez państwo). Ten nie odpowiada nawet obniżonemu standardowi projektu ustawy AOON. Jest skierowany nie do seniorów, a do jego zstępnych, stosując przy tym rygorystyczne kryteria dochodowe. Pomija też całkowicie samotnych seniorów, co samo w sobie jest skandaliczne i uprzedmiotawia ludzi starszych. Na dokładkę bon senioralny można pobrać na osobę w wieku powyżej 75 lat...

Żeby starym nie było smutno, młodzi też obejdą się smakiem pomocy. Projekt ustawy AOON opieką asystencką obejmie dzieci do 13. roku życia dopiero (o ile w ogóle) w 2030 r. Tym samym wykluczy kolejne pokolenia i na lata udupi rzesze opiekunów.

Duma i dupa

Środowiska zrzeszone wokół osób z niepełnosprawnościami podejrzewają, że rząd celowo wyśrubował wymogi, aby program dobrze wyglądał w kampaniach, ale po cichutku zdechł śmiercią naturalną. Kandydaci na asystentów mogą się zniechęcić nie tylko Himalajami papierologii. Trudno uznać za zachęcający projekt, który określa stawki usług dla asystentów bez mechanizmu waloryzacji. Grozi to stałym obniżaniem realnego wynagrodzenia asystenta, a co za tym idzie – rosnącymi trudnościami ze znalezieniem osób chętnych do tej pracy, bo będzie to zawód coraz mniej atrakcyjny finansowo. Jeśli nie będzie chętnych na asystę, zniknie jeden finansowy garb dla państwa.

16 listopada w programie Polsat News o błędach ustawy opowiadał minister nadzoru nad wdrażaniem polityki rządu Maciej Berek. Nie pochylił się nad babolami rządowego projektu, ale za to zjechał przygotowanie regulacji, za które bezpośrednio odpowiadał Łukasz Krasoń z Polski 2050, pełnomocnik rządu ds. osób z niepełnosprawnościami i wiceminister rodziny, pracy i polityki społecznej.

– Mogę dzisiaj powiedzieć, bo ustawa już jest w parlamencie, że to, co zostało wstępnie przygotowane przez zespół, który nad tym pracował w ministerstwie, nie nadawało się do przyjęcia od strony prawnej. Została wykonana potężna praca przez dedykowany zespół z Rządowego Centrum Legislacji, do tego, żeby jak najszybciej ten projekt przepracować. Projekt po prostu był źle przygotowany – przekonywał. Podkreślił również, że ustawa będzie teraz procedowana i prawdopodobnie zostanie uchwalona w przyszłym roku, zaś uruchomienie całego systemu zostanie rozłożone w czasie. Oczywiście zupełnym przypadkiem program ruszy w roku wyborczym…

Na początku listopada w Poznaniu doszło do tzw. rozszerzonego samobójstwa. Chcąc uniknąć konieczności oddania syna do domu pomocy społecznej, jego ojciec odebrał życie jemu i sobie. 79-letni ojciec wiedział, ile czasu poświęca na czynności pielęgnacyjne, karmienie i pojenie syna, i zdawał sobie sprawę, że w DPS-ie nie będzie czasu i ludzi zdolnych zapewnić taką opiekę synowi. Autorzy badań nad tzw. homicide-suicide wśród opiekunów opisują to jako moment, gdy opieka przekształca się w akt rozpaczy – próbę zakończenia cierpienia tam, gdzie system zawiódł.

IDALIA DUBICKA

Paw prezydenta

GADMAN

Dzisiejszy COP to wspólne dziecko II RP, III Rzeszy i PRL

Wiemy już, na co prezydent Nawrocki nam nie pozwoli. Opowiedział o tym Polsce i światu 11 listopada w Warszawie podczas obchodów Święta Niepodległości. Nadymając policzki, zagrzmiał: „Prezydent Polski nigdy nie pozwoli, abyśmy znów stali się pawiem i papugą narodów, bezwolnie powtarzającą to, co przychodzi z Zachodu. I mówię to jako zwolennik Polski w Unii Europejskiej, ale mówiący przede wszystkim: po pierwsze Polska, po pierwsze Polacy. Polska wolna, niepodległa i suwerenna to nasze zobowiązanie i o tym jest to święto”.

To programowe przemówienie prezydenta Nawrockiego wywołało lawinę komentarzy w polskich mediach. Zwykle odmieniających zwrot „pawiem i papugą” na wszystkie polityczne przypadki. Dowodzących, że polscy komentatorzy polityczni potrafią wyguglać sobie skąd ten paw i papuga przepisane zostały. I niewiele więcej, niestety.

Śmieszy

W pogardzanej przez prezydenta Nawrockiego Polsce Ludowej każdy uczeń znał ten cytat. Wiedział, że Juliusz Słowacki, autor wiersza „Grób Agamemnona” z 1839 r., krytykował w nim Polaków, rodaków. Za ich nieróbstwo umysłowe, czyli papugowanie dorobku innych, oraz magnacką i szlachecką bezmyślną konsumpcję, życie ponad stan, których symbolem był wtedy paw. To doprowadziło do upadku I Rzeczypospolitej. Można rzec, że ten Słowacki propagował pedagogikę wstydu, tak znienawidzoną przez ideowych przyjaciół prezydenta Nawrockiego. Może dlatego nie wymienił on autora tego przepisanego cytatu.

Władysław Łoziński w wydanej w 1907 r. monografii „Życie polskie w dawnych wiekach” reasumował te XIX-wieczne krytyki. Nawet pobieżna lektura tej fundamentalnej pracy prowadzi do jednoznacznych wniosków. Szlachta polska stworzyła i utrwalała gospodarczy model I Rzeczypospolitej. Miała monopol na produkcję i handel żywnością. Za uzyskiwane dochody kupowała dobra konsumpcyjne. Zwykle na zachodzie Europy, bo tam je wytwarzano. W Polsce nie, bo szlachta obsesyjnie walczyła z polskim mieszczaństwem. Tłumiła polskie rzemiosło. Akceptowała niemieckie i żydowskie mieszczaństwo, za co krytykował ją też Roman Dmowski.

Styl życia umysłowego i materialnego kształtowali w I Rzeczypospolitej dwór królewski, magnateria, studenci i żołnierze.

Pierwsza Rzeczpospolita rozkwitała w XV i XVI w., kiedy dwór i stan szlachecki brały wzorce z ówczesnej zachodniej Europy. Kiedy polscy studenci z bogatej szlachty jeździli po nauki do państw włoskich i niemieckich.

Potem nastąpiła kontrreformacja. Europejskie uniwersytety zastępowały polskim studentom krajowe kolegia jezuickie. Europejskich humanistów zastępowali wpływowi agenci obcych mocarstw masowo korumpujący polskie elity polityczne. A biedniejszej szlachcie wiedzę o świecie i dobra „szablą nabyte” przywozili krewniacy z ciągle toczonych wojen. Oni też dodatkowo lansowali modę i styl życia ówczesnych Polaków.

Ponieważ I Rzeczpospolita nie produkowała architektów, inżynierów, malarzy, muzyków, złotników, snycerzy, to narodowy strój polski, uważany za wzorcowo patriotyczny przez przyjaciół ideowych prezydenta Nawrockiego, był zlepkiem papugowanych strojów węgierskich i tureckich podszytych ruskim futrem.

Słynna polska szabla wzorowana jest na tureckiej. Polski czekan to wschodni dżukan. Koncerz to turecki kandżar, a polski kołczan też od Tatarów pochodzi. Polonizacja tych zagranicznych podróbek polegała wtedy przede wszystkim na dodawania im bogatego, zbytkownego, pawiego charakteru. Polska szlachcianka bywała tak obwieszona klejnotami, że złośliwie pisano, iż „swoje folwarki wzięła wraz z chłopy i gumny na barki”.

Polski strój męski, delia, kontusz, żupan, były zapinane na guzy upstrzone feretami, pontałami i „sztuczkami z brylantów”. Każda z tych ozdób to oprawiony w szlachetny metal kamień szlachetny lub perły. „Rzekłbyś, że żywe chodzą po świecie jarmarki” – komentowano.

W I Rzeczypospolitej zwykle w obiegu były liche i podejrzanej wartości kruszcowej monety, bo władcy polscy i obcy regularnie fałszowali polskie pieniądze. Wtedy takie guzy lub popularnie noszone złote łańcuchy, jak dziś w kulturze dresiarskiej, służyły jako twarda waluta. Skąd tyle niepolskich klejnotów brało się na polskich strojach? Z ziem obcych „szablą tam wziętych”. Łatwych do przewożenia w przeciwieństwie do obrazów, rzeźb, książek. Dlatego w polskich magnackich pałacach i szlacheckich dworkach zawsze więcej było srebrnej zastawy i wschodnich kobierców niż galerii obrazów i bibliotek.

Najbardziej znanym obrazem przez Polaków szablą wziętym jest ruska ikona zrabowana na Ukrainie. Przedstawiająca ciemnoskórą Żydówkę zwaną „Matką Boską Częstochowską”. Ukoronowana przez króla polskiego Jana Kazimierza, syna Szweda i Austriaczki, na duchową Królową Polski. Uważana przez polskich patriotów za symbol polskiej polskości. A rzeczywistym, niepodważalnym, niepapugowanym wkładem polskiego dziedzictwa kulturowego I Rzeczypospolitej w światowy dizajn jest polski kołtun. Noszony na polskiej wsi jeszcze w XIX w.

Tumani

W czasie swego przemówienia prezydent Nawrocki wspomniał o Maurycym Mochnackim, który „pisał, że to, co najważniejsze, to rozpoznanie w swoim jestestwie.” Ale nie wspomniał, że ten prawdziwy Mochnacki po upadku powstania listopadowego znalazł azyl polityczny w Belgii. I w Europie Zachodniej szukał sojuszników w walce o odbudowę niepodległej Polski. Bo tak wynikało mu z tego „rozpoznania jestestwa”.

Przypomniał też prezydent Nawrocki sukcesy miłej mu II Rzeczypospolitej. Jako dowód czysto polskiego wysiłku niepodległościowego, dokonanego polskimi siłami i zasobami, przypomniał budowę Centralnego Okręgu Przemysłowego.

Prezydent Nawrocki jest doktorem nauk historycznych. Specjalizuje się w historii opozycji antykomunistycznej, historii sportu oraz przestępczości zorganizowanej w PRL. Nie musi znać pism politycznych Maurycego Mochnackiego czy historii Centralnego Okręgu Przemysłowego. Bo gdyby znał historię COP-u, to wiedziałby, że ta inwestycja powstała dzięki zaciągniętej w 1936 r. pożyczce od rządu Francji. II Rzeczypospolitej nie było stać na taką inwestycję.

Celem pożyczki było dozbrojenie Polski w obliczu zbliżającego się konfliktu z Niemcami. Początkowo pożyczkę chciano przeznaczyć na zakup uzbrojenia. Przede wszystkim we Francji. Ale ówczesny wicepremier i minister skarbu Eugeniusz Kwiatkowski przeforsował zużycie tych pieniędzy na industrializację Polski. Budowany COP nie zdążył uzbroić polskiej armii, która przegrała wrześniową wojnę z Niemcami. Ale fabryki zostały.

Ideę budowy COP-u przejęli niemieccy okupanci, którzy dokończyli zaporę i elektrownię w Rożnowie. Inne fabryki zmodernizowali i rozbudowali. Kolejne rozbudowy COP-u to dzieło Planu Trzyletniego i kolejnych inwestycji w czasach Polski Ludowej. Dzisiejszy COP, który tak chwali prezydent Nawrocki, to wspólne dziecko II Rzeczypospolitej, III Rzeszy i PRL. Ale o tym prezydent Nawrocki nie wspomina. Woli tumanić Polaków. Podobnie tumani, kiedy ogranicza wiedzę o Mochnackim i wymowie przywoływanego wiersza Słowackiego.

Przestrasza

Prezydent Nawrocki powiedział też: „Co chcemy dziś powiedzieć tym, którzy krwią, wysiłkiem i pracą przynieśli nam niepodległość 11 listopada, kiedy widzimy, że część polskich polityków gotowa jest do tego, aby po kawałku oddawać polską wolność, niepodległość i suwerenność obcym instytucjom, trybunałom, obcym agendom Unii Europejskiej – ta krew, to poświęcenie, ta praca – żebyśmy dziś nie rozumieli, że Polska jest wolna i niepodległa i nie jest już kolonią”.

I jednocześnie zapiał z radości, że: „Prezydent Donald Trump zaprosił Prezydenta Polski na szczyt grupy G20. Zaprosił mnie, ale zaprosił wszystkich Polaków, bo (...) to Wy jesteście autorami tego wielkiego sukcesu gospodarczego. Ten sam nasz wielki sojusznik zadeklarował, z czego z Panem Premierem, Ministrem Obrony Narodowej się cieszymy, że ci żołnierze amerykańscy, którzy są na terytorium Rzeczypospolitej i wspomagają żołnierza polskiego, pozostaną w Polsce – i jest to dla Rzeczypospolitej także dobra informacja. Jesteśmy gotowi do tego, aby Polska stała się także energetycznym i gazowym hubem dla całej Europy Środkowej i Wschodniej razem z naszymi amerykańskimi partnerami”.

To oznacza, że walcząc o polską suwerenność polityczną i gospodarczą, prezydent Nawrocki będzie rugował polską współpracę z naszą Unią Europejską i jednocześnie zapraszał do Polski jeszcze więcej żołnierzy amerykańskich.

Na nasz koszt zresztą. Będzie rugował z programów szkolnych wiedzę o higienie i oddawał polską ziemię amerykańskim firmom handlującym skroplonym gazem. Będzie dalej wetował rozwój polskich firm energii odnawialnej i dodatkowo otwierał porty dla amerykańskiego węgla kamiennego? Tylko dlatego, że wielki mocarz, prezydent Trump, zaprosi prezydenta Nawrockiego i jego świtę na jakiś bankiet wydany po wcześniejszym koncercie mocarstw.

I na bankiecie prezydent nadmie się jak paw.

Suwerenny, wolny paw.

PIOTR GADZINOWSKI



eprasa.pl bfc461547d

Kosiniak-Kamysz z metra cięty

Aneks do wsi

Chyba że Kosiniak pod pojęciem „partia chłopska” rozumie np. to, że chłopy blokują babom dostęp do aborcji. Pod tym względem chłop potęgą jest i basta.

PSL trwa i trwa mać – można, parafrazując Waldemara Pawlaka, podsumować kongres ludowców, który odbył się 15 listopada. Dla wspomnianego byłego premiera miał przebieg nie do końca pomyślny, bowiem na jego miejsce jako szefa Rady Naczelnej wskoczył wicemarszałek Piotr Zgorzelski moszczący się coraz wygodniej w partii i polskiej polityce.

Reszta bez zaskoczeń: Kosiniakiem na kolejną kadencję został Kamysz. Dotychczasowy prezes Polskiego Stronnictwa Ludowego nie miał konkurentów i wygrał. Stary-nowy prezes wygłosił płomienne niemal godzinne przemówienie, wychwalające zasługi swoje i partii, których wystarczyło na bitą godzinę. Okazuje się, że to PSL obaliło PiS, niczym Wałęsa komunę. Jak przystało na ludowca, Kosiniak-Kamysz zaczął od cytatu z Jana Pawła II, z jego „Tryptyku rzymskiego”: „Jeśli chcesz znaleźć źródło, musisz iść do góry, pod prąd”. Potem był jeszcze cytat z proboszcza, który odprawił dla działaczy mszę. W samym przemówieniu również dało się zauważyć elementy kaznodziejskie, co świadczy o przywiązaniu partii i prezesa do wartości chrześcijańskich.



Rys. PRZEMYSŁAW ZAMOJSKI

PSL rzeczywiście idzie pod prąd, także w koalicji rządzącej. Ludowcy tym się głównie wsławili w tej kadencji, że hamują ustawy „światopoglądowe”, stanowiąc dla Tuska wygodną wymówkę, że się nie da, bo w jego drużynie są też ludzie o wrażliwości konserwatywnej i trzeba to uszanować. Kosiniak raz już był „tęczowym Władkiem” i wystarczy. Wicepremier i jego partia jawią się teraz jako strażnicy polskości i wiary w lewaczejącym obozie władzy. Prezes PSL stoi też na czele międzyresortowego zespołu, który zajmuje się Funduszem Kościelnym, i w tym także kieruje się nauczaniem JP2 oraz księdza proboszcza, sądząc po owocach. Nie ma się co chłopu dziwić, w końcu jego ciotka czeka w kolejce do wyniesienia na ołtarze. W tej sytuacji tylko głupi by zadzierał z klerem.

Właśnie, chłopu. Jak na partię chłopską Kosiniak-Kamysz zaskakująco mało uwagi poświęcił wsi i rolnictwu. Ewidentnie zadomowił się w Ministerstwie Obrony Narodowej i to militaria są teraz jego konikiem. Wielkomiejski lekarz bawiący się żołnierzykami to raczej średnio atrakcyjna propozycja dla rolników, którzy szukają pociechy w ramionach pisowców i konfederatów.

Do mediów przebił się z kongresu głównie pomysł, aby 10 kolejnych miast miało metro. Znowuż, jak na chłopską partię przystało, propozycja niezwykle istotna dla mieszkańców wsi. Pomysł poskutkował życzliwym postukaniem się w głowę przez mieszkańców tych miast postulujących, by najpierw aktualnie dostępna komunikacja miejska zaczęła działać jako tako. Tylko że metro to w zasadzie tak przy okazji, bo, jako się rzekło, Kosiniak jest teraz ministrem wojny i jako taki się wypowiada. Wojna to to, co „Tygrys” lubi najbardziej. Swój nowy pomysł ochrzcił „tarczą infrastrukturalną”, a dla gawiedzi i cywilów ma wersję uproszczoną. – Roboczo nazwijmy ją metrem. Będzie zarówno łączyć, dostarczać usługę transportową, jak i będzie miejscem schronienia w czasie kryzysu – nęci i straszy prezes PSL. Jaki czeka nas kryzys? Wróg u bram, potrzebne schrony – zdaje się mówić pierwszy ludowiec III RP. – 114 tys. osób w tych miejscach znajdzie długotrwałe miejsce schronienia, gdzie na każdego przypadają 4 mkw., albo krótkotrwałe miejsce schronienia dla 500 tys. osób. Wzorujemy się na doświadczeniach choćby z Kijowa. 70 tys. osób znajduje tam schronienie w momentach nalotów – klarował wicepremier. Daj nam, Boże, takie schrony, które chronią przed odlotami polityków.

Pociesza deklaracja Kosiniaka-Kamysza, że PSL do najbliższych wyborów idzie samo. W ostatnich sondażach ludowcy plasują się pod progiem, więc samodzielny start mógłby ich w końcu wyprowadzić z parlamentu. Ale to przedwczesne nekrologi, bo zawsze znajdzie się jakiś Kukiz czy inny Hołownia, który zaholuje chłopów do sejmu. Na horyzoncie pojawiła się już partia Nowa Polska senatora i byłego prezydenta Nowej Soli Wadima Tyszkiewicza. Świeża jak smażona ryba nad morzem formacja stawiająca na samorządność i wolnorynkową gospodarkę – idealny koalicjant dla PSL. Kwestią jest raczej, z kim ludowcy będą współrządzić, a nie czy przekroczą próg. Zgodnie z maksymą otwierającego ten tekst Pawlaka zapytanego, kto wygra wybory. – Jak to kto? Nasi koalicjanci – stwierdził były premier.

ŁP

Osobiście ocalam lewicę

No wreszcie. Koło fortuny uśmiechnęło się do prawdziwych – tak mniemających – komunistów. Prezydent Karol „Marszowy” Nawrocki postanowił zdelegalizować Komunistyczną Partię Polski. Gdyby KPP miała własną scenę teatralną, to w tym momencie przewodniczący wyszedłby na środek, spojrzał w światła rampy i powiedział: „Dziękujemy ci, panie prezydencie”.

KPP – groźna jak teatr lalek

Delegalizacja KPP to mniej więcej tak, jakby państwo postanowiło zamknąć Teatr Lalek Rabcio w Rabce za rozpowszechnianie grozy i wywrotowego strachu. Gest dramatyczny jak z „Matki Courage”, ale efekt komiczny jak z „Porwania Baltazara Gąbki”. Publika płacze – ze śmiechu.

Wszak nawet Ronald Reagan nie postulował zdelegalizowania Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych (wręcz przeciwnie), a w feudalnej cokolwiek Wielkiej Brytanii 20 lat temu odrodziła się i żyje Communist Party of Great Britain (Marxist-Leninist) (CPGB-ML).

Obecnie nasza KPP ma tylu członków, że mogliby się zmieścić na jednej stacji metra, i to w godzinach, kiedy metro nie kursuje. To nie są ludzie, którzy z nożem w zębach i bagnetem na sztorc szturmują Pałac Zimowy, aby wdeptać carat w błoto. Dzisiejsza KPP to raczej związek miłośników dobrej pogody i dawnej szkoły obywatelskiej. Naiwne poczciwiny, które pamiętają jeszcze marszałka Małachowskiego i jego słynne: „Lepiej przegrać uczciwie niż wygrać ze szwindlem”. To środowisko ludzi, którzy w poprzednich wyborach prezydenckich poparli Waldemara Witkowskiego – łagodnego jak baranek, roślinnego nawet temperamentem, dziś już chyba senatora z Nowej Lewicy. Człowieka, o którym najostrzejszą opinią była niegdyś recenzja bufetu sejmowego: „Uprzejmy do przesady”.

No cóż, Lenin obiecywał deterministyczny marsz historii, Rewolucję Światową, trzask pękających kajdanów. Tymczasem dzisiejsza KPP nie ma nawet trzasku. Ha… niestety, sondaże wskazują, że cała polska lewica – od pątników postępu po szamanów świeckiego humanizmu – nie weszłaby dziś do sejmu, nawet gdyby wyborcy dostawali za to darmowe vouchery do Lidla. To więc świetny moment, żeby zastanowić się: czy lewica XXI w. ma jeszcze rację bytu? A jeśli tak – to w jakiej postaci?

Zadyszka w biegach ze współczesnością

Polska lewica leży na łopatkach i kwiczy. Wydaje z siebie ostatnie tchnienia niczym stary odkurzacz Zelmera. Jeszcze działa, ale jak go wyłączyć, to nikt już go nie włączy. Nie będę robił wycieczek personalnych, bo z nich wychodzi jedynie wykopanie kolejnej partii spod progu trzech procent. Ale warto zauważyć jedno: towarzysze, kompletnie nie nadążacie za oddechem współczesności.

Idea zbrojnej rewolucji słusznie upadła. I nie dlatego, że kapitalizm zatriumfował. Nie – po prostu w XXI w. nie da się zmienić systemu naganem, z pominięciem procedur, paragrafów, RODO i regulaminu korzystania z windy w Urzędzie Miasta. Zamach stanu w Europie nie przejdzie. Do tego pozwoliliście sobie ukraść cały arsenał socjalnych programów przez karakana z Nowogrodzkiej. Gdy wy nie mogliście wygramolić odrobiny sensu ze swoich przekonań, on już ogłaszał trzecią, czwartą i piątą edycję programu „Damy wam hajs, głosujcie”. Nawet wiek emerytalny by wam pewnie zdjął, gdyby mu wyszło w sondażach.

Jak przegrywać rewolucję

Teraz zamiast sztandarów, zamiast czerwonych proporców, zamiast wielkich idei, lewactwo niesie wegańskie tote bagi z podobizną „olaboga Sylwii Szpurek”. Towarzysze! Przecież Lenin nie woził „Światła w tunelu dziejów” w torbie z recyklingu. On miał wizję w szwajcarskiej walizce!

Nie zauważyliście, że świat się zmienił? Ongiś było prosto jak budowa cepa: kapitalista miał fabrykę, robotnik miał łopatę, państwo miało policję. A dziś? Dziś kapitalista jest niewidzialny, ma twarz algorytmu i konto w Szwajcarii. Fabryki mu niepotrzebne. On ma bank – a bank ma ciebie. Pracownik pracuje na trzy etaty, ale trzymany jest za mordę limitem debetowym. Każdy minus na koncie to mała lekcja pokory dyskontowana przez Kaczyńskiego kolejną transzą pomocy z ZUS lub opieki społecznej. Państwo polskie staje się administracyjno-skomputeryzowanym, bezdusznym aparatem opresji, który wie o tobie wszystko.

Krótka ballada o tym, jak polskie regulacje wymykają się trendom unijnej deregulacji

Rządowe oko cudzego konia tuczy

13 listopada Parlament Europejski przegłosował pakiet Omnibus I, który ma uprościć i wzmocnić unijne prawo dotyczące zrównoważonego rozwoju, raportowania korporacyjnego oraz regulacji środowiskowych i społecznych dla firm działających w Europie. Celem inicjatywy jest m.in. poprawa przejrzystości łańcuchów dostaw, walka z greenwashingiem (praktyką marketingową opartą na ekościemie) i deregulacja niektórych biurokratycznych wymogów.

Na nową jakość unijnej polityki gospodarczej żywiołowo zareagował świeżo zainstalowany w Polsce ambasador USA Tom Rose. W obszernym wpisie na platformie X ostrzegł, że proponowane przepisy mogą poważnie nadszarpnąć relacje gospodarcze między UE a Stanami Zjednoczonymi oraz zaszkodzić amerykańskim przedsiębiorstwom działającym w Europie. Dyplomata przekonywał, że trudno wskazać inny akt prawny, który miałby bardziej zagrażać amerykańskim miejscom pracy i innowacjom. Tłumacząc na nasze, wprowadzone przez UE deregulacje wzmocnią europejskie firmy, co nie podoba się amerykańskim molochom. Zdaniem Rose'a, „podejmując rolę dumnego lidera i prowadząc bezkompromisowy, ogólnoeuropejski sprzeciw wobec biurokratycznej potworności, Polska może stanąć ramię w ramię z prezydentem Trumpem w obronie wzrostu gospodarczego, konkurencyjności i zdrowego rozsądku”. Padła też groźba. „Nie miejcie państwo co do tego wątpliwości: prezydent Trump uważnie obserwuje sytuację” – napisał ambasador.

Na tę litanię jak do hejnału zerwał się premier Donald Tusk, który podkreślił, że Polska włożyła sporo wysiłku, aby doszło do deregulacji europejskich przepisów. Przy okazji zasadził ambasadorowi lepę riposty na twarz, sugerując, że Rose pomylił dyrektywę z jej pierwotnym zapisem.

Tusk zapewnił, że Polska jest lojalnym sojusznikiem USA, ale będzie oczekiwała od wszystkich przedstawicieli Stanów Zjednoczonych pełnego szacunku i respektu. Nic tak nie cieszy jak husaria w obronie polskiej suwerenności i godności przed siermiężnym lobbystą.

Radość z narodowej asertywności bywa jednak ulotna. Kiedy Tusk punktował Rose'a, wylało nowe szambo wokół KPO.

Ministerstwo Cyfryzacji pod wodzą Krzysztofa Gawkowskiego w przetargach na sprzęt komputerowy do szkół, finansowanych z Krajowego Planu Odbudowy, schowało patriotyzm do dupy i postawiło takie wymogi, że zmiotło z planszy polskich dostawców komputerów. Tym manewrem zrobiło laskę zagranicznym molochom. Tak, tak – Polska, lider europejskiej deregulacji, przykręciła śrubę przepisów rodzimym montowniom sprzętu, żeby wykluczyć je z wyścigu do wartego 4 mld zł finansowego paśnika.

Ministerstwo ogłosiło zamówienia obejmujące m.in. laptopy, tablety i wyposażenie pracowni AI. Postępowanie prowadzą Centrum Obsługi Administracji Rządowej i NASK. Plan zakłada wyposażenie ponad 17 tys. szkół w 735 tys. urządzeń dla uczniów i nauczycieli do końca 2025 lub 2026 r., co ma poprawić kompetencje cyfrowe i wyrównać szanse edukacyjne.

W Polsce co prawda nie ma rodzimych producentów laptopów w rozumieniu projektowania i budowania własnych urządzeń od podstaw, ale istnieje szereg firm, które – korzystając z bebechów od azjatyckich dostawców – montują, konfigurują i brandują sprzęt. Niestety, mimo że oferują konkurencyjne ceny i lokalny serwis, specyfikacja przetargu wysadziła je z siodła. Chodzi o wymóg posiadania przez sprzęt dwóch certyfikatów środowiskowych – TCO i EPEAT.

TCO Certified określa standard zrównoważonego rozwoju obejmujący ergonomię, emisję i recykling. EPEAT to globalny system oceny elektroniki pod kątem wpływu na środowisko z naciskiem na materiały i efektywność energetyczną. Kłopot w tym, że polskie montownie nie są w stanie posiadać obu certyfikatów jednocześnie. Uzyskanie obu glejtów to kosztowny i skomplikowany proces wymagający zmian w łańcuchu dostaw od dostawców z Chin i Tajwanu. Na dokładkę każdy model musi przejść osobną ścieżkę certyfikacji.

Ministerstwo Cyfryzacji zaczęło odpierać zarzuty, tłumacząc, że wymogi wynikają z unijnej zasady DNSH, która zobowiązuje do prowadzenia inwestycji w sposób nienaruszający środowiska. Ministerstwo wskazało też, że wyśrubowane przepisy są efektem rozporządzenia ministra edukacji określającego minimalne parametry sprzętu. Słabo wyszło. DNSH nie odnosi się do konkretnych certyfikatów, a wytyczne ministra edukacji mówią wyraźnie, że laptop musi posiadać jeden z glejtów, a nie oba.

Resort Gawkowskiego na swoją obronę powołał się także na rekomendacje organizacji branżowych, w tym m.in. Polskiej Izby Informatyki i Telekomunikacji (PIIT). Izba to platforma lobbingowa promująca cyfrową transformację. Ma dostęp do ekspertyz i sieci kontaktów w sektorze publicznym. Odgrywa kluczową rolę w konsultacjach legislacyjnych (np. w zakresie zamówień publicznych, cyberbezpieczeństwa i regulacji UE jak AI Act czy Data Act). Jej członkami są głównie globalni producenci sprzętu (m.in. Dell, Lenovo, Acer), którzy dysponują środkami na uzyskiwanie kosztownych certyfikatów.

Premier Donald Tusk w pyskówce z amerykańskim ambasadorem podkreślił, że Polska jest niekwestionowanym liderem Unii Europejskiej i dobrych trendów, jakie w UE się zarysowały. Zerkając na podwórko kraju nad Wisłą, można mieć co do tego solidne wątpliwości.

IDALIA DUBICKA

Wielu myślało – lub też miało nadzieję – że po niewątpliwym sukcesie Adriana Zandberga w wyborach prezydenckich partię Razem czeka dobry czas. Widoczny był nowy zapał lidera, któremu tłumy młodych ludzi na wiecach – i wcale niezły wynik w pierwszej turze wyborów – ewidentnie podniosły morale. Tymczasem w ubiegłym tygodniu socjale partii obiegła informacja o niewątpliwej stracie w szeregach: skreśleniu z listy członków posłanki Pauliny Matysiak.

Problemy z Matysiak

W uzasadnieniu czytamy: „Paulina Matysiak od dłuższego czasu nie uzgadniała swoich działań i nie współpracowała z partią. Liczne próby włączenia jej w prace Razem i koła poselskiego okazały się nieskuteczne”. Dalej napotykamy na dużo wcześniej czynione już aluzje do PiS-owskich ciągot posłanki Matysiak – autorzy posta wspominają, że partia Razem od początku miała stanowić alternatywę dla PO–PiS-u i tak jak dwa lata temu nie zgodzili się na „zapisanie się do bloku Tuska”, tak i teraz Razem „nie zapisze się też do drugiego z tych szkodliwych dla Polski obozów”.

Pochodząca z Kutna Paulina Matysiak swoją karierę sejmową rozpoczęła w roku 2019 i zasłynęła przede wszystkim zaangażowaniem przeciwko wykluczeniu komunikacyjnemu. Działania Matysiak i jej rozpoznawalność w okręgu sieradzkim były dla Razem o tyle cenniejsze, że – jak wiemy – sukcesy partii w mniejszych ośrodkach są mierne, choć to ich mieszkańcy powinni być razemowymi postulatami najbardziej zainteresowani.

Scysje między Razem a Matysiak zaczęły się w lecie ubiegłego roku, kiedy podjęła ona współpracę z posłem PiS Marcinem Horałą w sprawie budowy CPK, mimo że – według moich źródeł – taka współpraca była jej odradzana czy wręcz zabraniana. Było oczekiwanie, że posłanka przedstawi argumenty na rzecz korzyści, jakie taka współpraca może przynieść partii. Zamiast tego zaangażowała się na całego w kolaborację z Horałą bez dalszych rozmów z partyjnymi kolegami i koleżankami. Matysiak została wówczas

eprasa.pl bfc461547d

Komunizm 2.0



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Cyfrowy faszyzm w natarciu

Jeżeli byle sprawa toczy się przed sądem pięć lat, to nie ma co owijać w togę – sądownictwo po prostu nie działa. Jeżeli w internecie okraść cię może każdy i zawsze, od Nigeryjczyka po Franka z Patologii Siedlców, to policji w tym kraju też nie ma. Jeżeli państwowa agenda może nałożyć na ciebie opłatę w dowolnej wysokości bez prawa do odwołania, to nie jest „prosta procedura administracyjna". To jest finansowy totalitaryzm na razie w wersji demo. A jeśli skarbówka może przywalić ci dowolny podatek, bo urzędnik ma premię od ilości pobrań, to już nie jest państwo prawa. To państwowa mafia z kasą fiskalną.

Jeżeli w konstytucji rozmyto prawo do bezpłatnej opieki zdrowotnej, to jedyne, co masz darmo, to umieranie. I to nawet bez asysty pielęgniarki. A jeżeli byle urzędnik dowolnej rządowej agendy może cię inwigilować jak KGB z Tatarstanu, to już nie jest „zwiększanie bezpieczeństwa państwa". To są fundamenty faszyzmu w wersji cyfrowej, gdzie zamiast czarnych koszul są czarne ekrany z podglądem twojego rachunku.

A wszystko to pływa w sosie z butnego nacjonalizmu, podsycanej wrogości do sąsiadów oraz pochwały krzyża i miecza – bo jak wiadomo, „naród przedmurze chrześcijaństwa musi być silny".

Postęp w obrożach – zamiast wyzwalania zniewalanie

Wy – towarzysze od postępu – sami zakładacie sobie kagańce i butami wchodzicie ludziom w życie. Chcecie regulować wszystko: kiedy człowiek może kupić alkohol, kiedy może zapalić papierosa, kiedy może wypić energetyka i ile słodzonych kalorii wolno mu przyswoić, zanim urzędnik zacznie bić na alarm. Podatek cukrowy, podatek od mięsa, podatek od plastiku, foliówek, bąbelków, fast foodów.

Ach, ta lewica... antyglobaliści, antykapitaliści, antyimperialiści, a włażą w tyłek Zuckerbergom, TikTokom i YouTube'om aż miło. Czy ktoś z nich odmówił „taniej reklamy od jankesów"? Nie słyszałem. „Walka z kapitalizmem – ale najpierw sprawdź nasz profil na Insta".

A te zakazy? Zakaz pieców, gdy ludzi nie stać na gaz. Zakaz spalinowych aut, gdy ledwo dyszą 15-letnimi Volkswagenami. Zakaz chipsów, kofeiny, fajerwerków, jednorazowych grilli, mięsa w placówkach publicznych. Obowiązkowe wegańskie posiłki w szkołach, normy dietetyczne w żłobkach, czarna lista zabawek i kosmetyków. Komitet Centralny Walki z Niezdrowym Trybem Życia. Towarzyszu Zandberg, czy was już kompletnie popierdoliło?!

Lewico, ruszaj bryłę świata

Konstruktywną krytykę mamy odhaczoną, ale że nie wierzę w moc umysłów, czas rozświetlić te czerwone mroki, które spowijają komuszą polską dziecinadę. Wkraczam do akcji!

Co mogłaby zrobić współczesna lewica (gdyby jeszcze istniała)?

Mogłaby wreszcie przestać walczyć o prawa jednorożców i wrócić do walki o prawa ludzi. Ale skoro mamy do czynienia z lewicą, która boi się własnego cienia, a o klasie pracującej słyszała ostatnio w Złotych Tarasach, to trzeba jej wszystko rozrysować jak uczniowi na terapii pedagogicznej:

1. Polska Platforma Pracownicza

Nie partia. Nie think tank. Aplikacja. Bo w XXI w. nawet rewolucja musi mieć apkę.

To narzędzie, które:
– wycenia realnie twoją pracę (a nie „na oko, bo tak mamy w budżecie");
– monitoruje wyzysk szybciej niż PIP na dopalaczach;
– synchronizuje się z GPS-em, by potwierdzić, że pracodawca naprawdę kazał ci przyjść na godz. 7.00 „na chwilę";
– organizuje mobilny strajk, wysyłając powiadomienie do wszystkich w okolicy: „Pracodawca znów cię wydymał. Chcesz zgłosić?".

Zbiorowe działanie w jednym kliknięciu. Taka Uber-demokracja dla ludzi, którzy mają dość bycia kelnerami na własnym weselu.

2. Czerwony Burdel Praw Obywatelskich

Skoro mamy państwo, które lubi kłaść ręce tam, gdzie nie powinno – to trzeba mu w końcu postawić granice. I to wyraźne, czerwone, neonowe.

Czerwony Burdel działałby tak:
– obywatel czuje się naruszony przez władzę – wysyła zgłoszenie;
– instytucja analizuje sprawę;
– i jeśli władza znowu szczypie suwerena tam, gdzie nie powinna, na scenę wchodzi prostytutka praworządności, ubrana w same paragrafy i darmowe porady prawne.

Bo raz na zawsze trzeba powiedzieć politykom: „Możesz być funkcjonariuszem państwa, ale nie funkcjonariuszem mojej kieszeni, łazienki i skrzynki mailowej".

3. Realna i uczciwa polityka socjalna

Czyli nie socjal dla wszystkich, tylko:
– socjal dla potrzebujących,
– ulgi i zwolnienia dla pracujących,
– zero transferów „dla świętego spokoju".

Socjal nie jako łapówka przedwyborcza, tylko poduszka bezpieczeństwa, która nie ma na celu kupienia twojego głosu, tylko ocalenie twojej godności.

4. Państwo świeckie – naprawdę, nie za 20 lat, a nie „świeckie państwo 2050", jak projekty PKP: zawsze opóźnione, nigdy niewykonane.

Zasady:
– Kościół ma się finansować sam – jak każdy sklepikarz, influencer i astrolog.
– Dla księży pedofilów są więzienia, nie „zawieszenia" i „kurlandy parafialne".
– Katecheza do salek parafialnych.
– Ambony do użytku liturgicznego, nie wyborczego.

Proste.

5. Uczciwe podatki, uczciwe państwo

Czyli:
– podatki jasne, przejrzyste i zrozumiałe nawet po kieliszku;
– opodatkowanie banków i algorytmów, a nie obywatela;
– fiskus, który nie poluje na samozatrudnionych jak na zwierzynę drobną;
– urzędnik, który odpowiada za swoje błędy – nie obywatel za błędy urzędnika.

Uczciwość państwa zaczyna się od tego, że nie musisz wynajmować księgowego, żeby zrozumieć PIT.

Manifest Lewicy XXI w.
(wersja LTS)

(Long Term Support. Wsparcie do końca świata lub końca budżetu państwa)

1. Człowiek jest ważniejszy od systemu – nawet jeśli system zarabia więcej. Bo system nie zachoruje, nie zbankrutuje i nie umrze samotnie w kolejce do lekarza.
2. Praca musi być uczciwie opłacana, chyba że jest to praca w kulturze – wtedy powodzenia. To nie żart. To diagnoza.
3. Państwo nie może być policjantem obywatela. Może być jego cieciem. Najwyżej windykatorem. Ale nie szefem ochrony twojego życia prywatnego.
4. Władza nie ma prawa delegalizować przekonań. Władza ma prawo co najwyżej delegalizować własną głupotę. Zwłaszcza gdy głupota staje się ustrojowa.
5. Wolność, równość i braterstwo są nadal aktualne – po prostu wymagają aktualizacji do wersji 2025.11.

Mhm, jeżeli potrzebny byłby jakiś nowy współczesny Lenin, to może bym się nadawał. Co myślicie? Tyle że ten prawdziwy w moim wieku dawno był już całkowicie martwy.

ROBERT JARUGA

Co się stało w partii Razem i komu to szkodzi?

Matysiout

zawieszona na łącznie sześć miesięcy w prawach członka partii Razem. W październiku 2024 r. czwórka posłów jej partii przyczyniła się do jej usunięcia z Komisji Infrastruktury (do której jednak powróciła miesiąc później). Zawieszenie wskutek współpracy z Horałą Matysiak komentowała bez żadnej skruchy, m.in. na łamach „Rzeczpospolitej": „Stoję na stanowisku, że nie zrobiłam niczego niewłaściwego, nie zrobiłam nic złego. Wiele osób pracuje w różnego rodzaju stowarzyszeniach z osobami o innych poglądach, z innych ugrupowań".



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Co mówi Razem?

W wywiadzie dla radiowej Trójki Zandberg przyznaje, że Matysiak od dawna „działała tak, jakby była posłanką niezrzeszoną" – i ogólnie stara się sprawiać wrażenie jak najmniej przejętego faktem, że liczba parlamentarzystów jego partii zredukowana została do czterech.

O ten rozwój sytuacji zapytałam wieloletniego aktywnego działacza warszawskiego Razem. Usłyszałam, że na początku Matysiak była niezwykle cenioną posłanką i gdyby nie „Horała-gate", mogłaby nawet startować na współprzewodniczącą partii. Mój rozmówca przyznał, że osobiście popierał jej wycieczki do prawicowych mediów oraz ostrą krytykę nurtu liberalnego, a po jej odwieszeniu w grudniu 2024 r. miał wielką nadzieję na powrót Matysiak na łono partii. Kością niezgody stało się jednak korzystanie przez posłankę z usług prawackich prawników w konflikcie ze spółką Newag. W skrócie: Matysiak została pozwana przez Newag za wypowiedzi na komisjach sejmowych, związane z medialnymi zarzutami, iż firma celowo uszkadza pociągi własnej produkcji; pozew został w październiku odrzucony ze względu na immunitet przysługujący posłance przy wykonywaniu pracy poselskiej.

– Mimo iż partia oferowała Matysiak pomoc prawną, zdecydowała się ona na współpracę z Bartoszem Lewandowskim z Ordo Iuris. Publiczne podziękowania pod jego adresem wywołały dodatkowe oburzenie i zostały odebrane jako sygnał, iż politycznie Matysiak widzi swoje miejsce poza Razem

– mówi mój informator. Wspomina również o głosowaniu Matysiak przeciwko zatrzymaniu Dariusza Mateckiego. Matysiak tłumaczyła wówczas, że nie poparła zgody na aresztowanie posła PiS, bo sejm nie powinien ingerować w decyzje sądów dotyczących środków zapobiegawczych. Choć głosowanie nie było objęte dyscypliną, zostało w partii bardzo źle przyjęte.

Z drugiej strony mój rozmówca dementuje plotki, że Zandberg poczuł się zagrożony obecnością Matysiak w Razem. – Zdecydowana większość aktywu rozumie decyzję o usunięciu jej z partii i w pełni się z nią zgadza; nawet osoby, które dołączyły do partii pod jej wpływem – uważa mój informator. I dodaje, że zachowanie posłanki sprawiało wrażenie, jakby celowo prowokowała wyrzucenie jej z partii: brak reakcji na propozycje rozmowy, ostentacyjna samowolka Matysiak interpretowane są przez niektórych jako opuszczenie partii „by proxy".

Co mówi Matysiak?

Krótko po ogłoszeniu decyzji partii Matysiak odpowiedziała na YouTubie filmem: „Wyrzucili mnie z Razem. Co dalej?". Filmik trwa około 10 minut, przy czym samej treści jest w nim na jakieś cztery. Słyszymy, że pisemna decyzja zarządu partii jest bardzo ogólna i nie znajdują się w niej żadne konkretne powody ku jej wydaleniu, poza ogólnym brakiem współpracy.

Poza, jaką przyjęła Matysiak – jakoby nie miała pojęcia, dlaczego wywalono ją z partii – jest dość głupiutka. Abstrahując od tego, czy owe powody były słuszne czy nie, przecież wszystkie wymienione wyżej wybryki Matysiak skutkowały aferami tak wewnątrz partii, jak i poza nią, o czym posłanka doskonale wiedziała. Mądrzej byłoby stać przy swoim i uzasadnić swoje wybory, o co zresztą – jak słyszę – była wielokrotnie proszona. Zamiast tego Matysiak wstawia jedynie krótki klip ze swojego wystąpienia dotyczącego CPK, co ma dowodzić, że wszystkie decyzje, które podjęła, wynikały z troski o ludzi. I deklaruje, że tym się motywowała, a nie „chęcią robienia inby i szumu". Dodaje również, że gdyby była posłanką, która nic nie robi, tylko pobiera dietę, nie miałaby żadnych problemów ani w partii, ani w klubie – a tak dostała po głowie ze względu na swoją aktywność.

Z drugiej strony niewykluczone, że słaba odpowiedź Matysiak wynikała z niechęci do dolewania oliwy do ognia – w końcu planowała się od partyjnej decyzji odwoływać. Najnowsza wiadomość jest taka, że odwołanie zostało rozpatrzone negatywnie.

Kto stracił?

Trudno jednoznacznie orzec, kto w tej sytuacji popełnił więcej błędów, bo z jednej strony Matysiak zapewne jakieś konkretne cele przyświecały; a z drugiej – Zandberg stara się stwarzać przynajmniej pozory jakiejś dyscypliny partyjnej.

Efekt jest jednak taki, że Razem straciło rozpoznawalną, aktywną i przez sporą część elektoratu docenianą posłankę. Matysiak straciła afiliację partii, która z pewnością nie stanowi szczególnej potęgi w sejmie, ale jednak ją wypromowała i umożliwiła jej niewątpliwe sukcesy. Niezależnie od tego, kto zawinił – w całej tej sytuacji wszyscy są przegrani.

ANTONINA STEFFEN

eprasa.pl bfc461547d

Znaczenie ma znaczenie



Rys. MARCIN BONDAROWICZ

Bogiem było słowo – to je ukradli

Usiądźcie wygodnie, bo dzisiaj opowiem wam bajkę o tym, jak zostaliśmy okradzeni z języka, a tym samym – z myśli, prawdy i z... rzeczywistości. Tej bajki nie zalecam czytać na dobranoc, bo kiedy człowiek się wkurzy, to trudno zasnąć. Ta bajka to nie opowieść o zwykłym kłamstwie. To opowieść o jednym z najpotężniejszych narzędzi władzy: o słowie, a konkretnie – o tym, jak za pomocą zmiany znaczenia słów przeprogramowano mózgi prawie całej ludzkości, byśmy uznali niewolę za wolność, wyzysk za szansę, a totalitarny projekt ekonomiczny za naturalny porządek wszechświata.

Główna teza jest prosta i wydaje się nawet oczywista, ale konsekwencje tej konkretnej, opisanej w bajce manipulacji są druzgocące – warto to sobie uświadomić. Przyjrzyjmy się, jak manipulacja słowami zmienia ludzką świadomość, a w konsekwencji także naszą ludzką rzeczywistość, a zatem system, w jakim żyjemy.

To nie jest abstrakcja. To działo się i nadal dzieje na naszych oczach. I stało się już raz – w Kościele. Przez wieki katolicyzm, podobnie jak inne wielkie religie, był systemem totalnym. Do dziś wisi nad nami jak ciężar i działa w milionach głów. Katolicyzm określał, co jest grzechem, a co cnotą, czym jest życie, a czym śmierć, co znaczy być kobietą, a co mężczyzną, kto jest panem, a kto sługą i komu należą się pokłony. Jego język był i jest jak niewidzialna klatka dla umysłu. Ich język zniewalał. Ale czy jesteśmy wolni od współczesnego odpowiednika tej klatki? Nie! Witajcie w świecie nowoczesnego zabobonu, czyli w świecie neoliberalnego kapitalizmu – dominującej ideologii naszych czasów, która przenika każdy aspekt życia równie skutecznie jak niegdyś kościelna doktryna.

Współczesny kapitalizm był po prostu systemem, w którym właściciel fabryki zarządzał nią. Ale uznano, że to za mało! Dziś panuje neoliberalizm zwany turbokapitalizmem albo kapitalizmem na sterydach – nowa, udoskonalona wersja rentierska, która nie tylko obezwładnia pieniądzem, ale przede wszystkim reorganizuje nam w głowie wszystko, co wydaje się normalne i oczywiste. Przestaliśmy zauważać, jak bardzo przesiąkła nas ideologia rynku, konkurencji, bogacenia się bez ograniczeń, bo język neoliberalizmu, wszechobecny jak w Krakowie smog, stał się powietrzem, którym oddychamy.

A wszystko zaczęło się od słów. Już w ewangelii według św. Jana powiedziano: „Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, i Bogiem było Słowo". „Słowo" oznacza tu nie po prostu mowę czy dźwięk, ale odwieczne boskie źródło wszystkiego – rozum, sens, zasadę porządkującą świat. Zrozumieli to i co gorsza skutecznie stosowali nie tylko misjonarze katolicyzmu, ale stosują także współcześni ideolodzy neoliberalizmu. Aby dobrze wypasać i strzyc owieczki, odbierzmy im ich mowę, dajmy im w zamian nasze słowa – niech czczą Boga w nas. Rozpoczęto od przeinaczenia, zawłaszczenia, wyprania naszych słów z ich pierwotnego znaczenia.

Przyjrzyjmy się słowu „liberalizm". Pierwotnie to piękna idea! Filozofia praw jednostki: prawa do życia, wolności, szczęścia dla każdego. Wszak to prawa uważane za naturalne i fundamentalne. A co się stało? Ideolodzy neoliberalni dokonali genialnego (bo diabelsko skutecznego) przekrętu. „Liberalizm" stał się synonimem „prawa", ale nie człowieka, tylko kapitału. Prawem do swobodnej gry rynkowej, do nieograniczonego bogacenia się, do traktowania pracownika jak towaru. Dzięki tej subtelnej zmianie znaczenia wolnością stała się wolność korporacji do wyzysku.

Albo pochodzące od Hegla słowo „klasa", użyte przez Marksa w niepodważonej do dziś analizie. Marks wyróżniał klasy ze względu na ich stosunek do środków produkcji: tych, którzy je posiadają, i tych, którzy sprzedają swoją pracę. To śmiertelnie groźne dla kapitalizmu znaczenie słowa „klasa" musiało zostać wymazane! Więc co zrobiono? Ukradziono je. Think tanki jako nowoczesne zakony ideologiczne kapitalizmu skutecznie zastąpiły jego podstawowe znaczenie pojęciem zwykłej warstwy społecznej. Dzięki wytrwałej pracy think tanków zasilanej kapitałem milionerów i wspieranej przez media pożytecznych idiotów, dziś słowo „klasa" oznacza po prostu „warstwę społeczną" – bogatych, średniaków, biednych. Według nich różnimy się jedynie poziomem życia, dochodami, aspiracjami, a nie relacją do własności środków produkcji, czyli relacją realnej władzy i podporządkowania. To już nie jest konflikt, to jest gradacja. Nie walka klas, tylko wyścig szczurów. I wszyscy biegniemy wyznaczonym przez nich torem, wierząc, że możemy być na szczycie, zamiast zrozumieć, że sam wyścig jest ustawiony pod tych, którzy już są na górze i bez rewolucyjnej zmiany w naszych głowach niewątpliwie tam pozostaną.

A słowa „lewica" i „prawica"? To mistrzostwo świata w manipulacji. „Lewica" pierwotnie, w demokracji, oznaczała siły socjalistyczne, dążące do wyrównania nierówności ekonomicznych. Do tego worka wsadzono jednak ekonomicznych liberałów, czyli zwolenników wolnego rynku! Dziś „lewak" to zarówno ten, kto walczy o podwyżki płac czy prawa dla związków zawodowych, a jednocześnie także bankier z city – o ile popiera związki partnerskie i transpłciową tranzycję. Sens się rozmył. Z kolei z „prawicy" wygumkowano ekonomicznych liberałów (ci bowiem bezpiecznie zasiedli w „centrum") i zostawiono tylko kulturowo identyfikujących się konserwatystów, nacjonalistów i faszystów. W ten sposób prawdziwy konflikt – między pracą a kapitałem – został zasłonięty przez zaprogramowaną wojenkę kulturową.

O zrównanie istniejącego od XV w. słowa „komunizm" ze słowem „zbrodnia" zadbał przede wszystkim Stalin i cały określający się w ten sposób totalitarny, faktycznie zbrodniczy stalinizm. A przecież

komunizm od XVI w. był ideą uspołecznienia środków produkcji, wspólnotowej pracy i dzielenia się, przynosząc nadzieję dla ludzkości. Dziś każdy, kto kwestionuje świętość rynku, kto mówi o redystrybucji bogactwa, kto ma czelność postulować powszechną opiekę zdrowotną, ryzykuje, że nazwą go komunistą.

Ale działalność ideologów neoliberalizmu spowodowała, że strasząc wyborców Bogu ducha winnego Zohrana Mamdaniego, przyklejono mu łatkę komunisty.

Zmieniając oraz zamieniając znaczenia tych i innych ważnych społecznie słów, jak „socjalizm", „anarchizm" czy nawet „własność", dokonano świadomie nowych, fałszujących rzeczywistość podziałów społecznych. Pocięto społeczeństwa jak nożem. Podobnie jak w procesie tworzenia pokolonialnej afrykańskiej państwowości z linijką w ręku brutalnie narysowano granice, tnąc w poprzek interesów klasowych wielkich grup społecznych. Zatarto prawdziwe podziały i zbudowano mury uniemożliwiające porozumienie się ludzi oraz po prostu zrozumienie rzeczywistości.

Myśli ktoś, że uprawiam teorię spiskową? Ale tak nie jest. Wystarczy przyjrzeć się bliżej, działalności tych, którzy prowadzili w imię neoliberalizmu tę zwycięską, kognitywną wojnę: National Bureau of Economic Research (NBER), The Heritage Foundation oraz Cato Institute czy „eksperci" z tzw. Chicago Group jak m.in. Milton Friedman czy George Stigler. To nowi, niechlubnie słynni kapłani neoliberalizmu i think tanki finansowane przez najbogatsze korporacje z listy Fortune 500. Przez dziesięciolecia produkowali „badania", „raporty", „analizy". Ich język, pełny „wolności", „elastyczności", „innowacyjności", zatruł nasze umysły. To oni lobbowali za deregulacją, prywatyzacją, obniżką podatków dla najbogatszych. I odnieśli spektakularny sukces. Ich działalność opisują między innymi Brytyjczycy George Monbiot i Peter Hutchinson w swej błyskotliwej książce „Niewidzialna doktryna. Tajna historia neoliberalizmu (i tego, jak przejął kontrolę nad twoim życiem)". Ale ta mentalna, kognitywna wojna o ludzką świadomość to nie tylko historia. Ten proces trwa także dziś, także w naszym kraju.

Jesteśmy zatruci ich manipulacjami. Dzięki tym kłamstwom wierzymy w zabobon, że np. „nie ma alternatywy". Wierzymy, że państwo jest przeciw nam, a rynek jest święty. Wierzymy, że nasza wartość mierzy się naszą produktywnością. Wierzymy, że jesteśmy twórcami własnego życia, a nie wyzyskiwanymi trybikami w maszynie, która napędza nierówności.

Doktryna wolnego rynku to jest fundamentalistyczna religia rynku. A wierni tej religii modlą się do bożka wzrostu PKB, podczas gdy nasze życie staje się coraz bardziej niepewne, planeta staje się wysypiskiem śmieci i coraz bardziej obawiamy się kolejnej wojny światowej.

Chciałabym doczekać detoksu. Czasu, w którym ludzie odzyskają ukradzione słowa i przywrócą im ich krytyczne, wywrotowe znaczenie. Chciałabym doczekać dnia, w którym usłyszę bajkę, w której wyzysk to wyzysk, grabież to grabież, a system, który depcze godność ludzką dla zysku, nie zasługuje na miano cywilizowanego. Czy ktoś mi ją opowie?

ANNA GRODZKA

Chiny nie są faszystowskie

Polemika ze Starczewskim

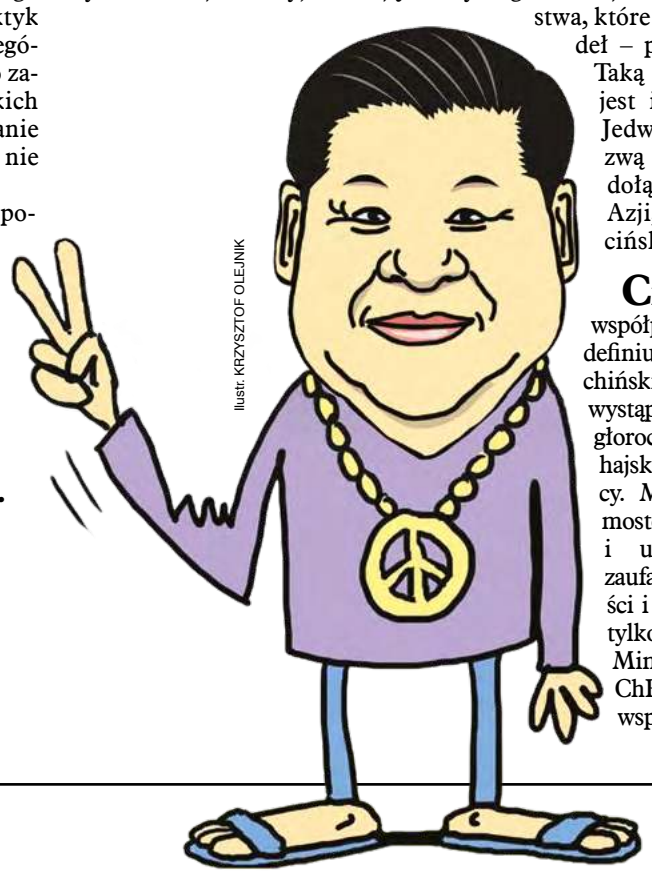
Przypisywanie Chinom faszyzmu – czego dokonał Piotr Starczewski („NIE", nr 44–45/2025) – jest może oryginalne, ale mocno naciągane. Wystarczy porównać „Mein Kampf" z wystąpieniami chińskiego przywódcy Xi Jinpinga. Twierdzenie, iż cechą wyróżniającą faszyzm jest – cytując – „upolitycznienie i upartyjnienie całego organizmu społecznego z gospodarką włącznie", wymyka się kanonom logiki. Idąc tym tokiem rozumowania należałoby bowiem za faszystowskie uznać wszystkie znane nam systemy, gdzie partia rządząca sprawuje kontrolę nad życiem społecznym i gospodarką. A więc ZSRR i wszystkie kraje socjalistyczne z PRL włącznie – co przebija nawet narrację IPN.

Tymczasem wyróżnikiem niemieckiego faszyzmu były rasizm i ekspansja terytorialna, co pasuje do Izraela, ale nie do Chin. Nałogowi krytycy Chińskiej Republiki Ludowej (taka nazwa jest w oficjalnym użyciu dla odróżnieniu od Tajwanu nazywanego przez niektórych Chinami) coraz to wytykają dyskryminację mniejszości narodowych – na co chińskie władze odpowiadają, wskazując np. na rozwój regionu Tybetu i prawo jego mieszkańców do swobody praktyk religijnych. Nie wchodząc w szczegółową analizę tego problemu, warto zaznaczyć, że opłakujący los chińskich Ujgurów zwracają uwagę na łamanie – ich zdaniem – praw człowieka, a nie na rasizm.

Najbardziej wyraziste różnice pomiędzy hitlerowskim faszyzmem a ChRL dotyczą polityki zagranicznej.

Hitler napadał na kolejne państwa w dążeniu do podporządkowania sobie Europy. Z Chinami jest wręcz odwrotnie: należą one do najbardziej pokojowo nastawionych państw świata.

Zamiast wywoływać czy też prowokować konflikty, władze w Pekinie (używam tej nazwy zamiast „Beijing", gdyż tak ją wymawiają mieszkańcy chińskiej stolicy) lansują nowy model stosunków międzynarodowych polegający nie na konfrontacji, lecz współpracy. Xi Jinping zgłosił dwie inicjatywy dotyczące globalnego rozwoju i globalnego bezpieczeństwa, które – według chińskich źródeł – poparło ok. 100 państw. Taką najbardziej widoczną jest inicjatywa wskrzeszenia Jedwabnego Szlaku pod nazwą Pasa i Drogi, do której dołączyło szereg państw Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Chińskie podejście do współpracy międzynarodowej definiują wypowiedzi czołowych chińskich polityków, takie jak wystąpienie Xi Jinpinga na ubiegłorocznym posiedzeniu Szanghajskiej Organizacji Współpracy. Mówił on o „budowaniu mostów ponad różnicami i umacnianiu wzajemnego zaufania, pokoju, pomyślności i rozwoju". Dotyczy to nie tylko azjatyckich partnerów. Minister spraw zagranicznych ChRL Wang Yi podkreśla, że współpraca między Chinami i Ameryką Łacińską opiera się na zasadzie równości i wzajemnych korzyści i nie ma na celu zastępowania innych partnerów. Podobne jest podejście do Afryki. Rzecznik chińskiego MSZ Lin Jian mówił o tym, że współpraca z państwami afrykańskimi ukierunkowana jest na zaspokajanie potrzeb kontynentu, promowanie rozwoju, a kraje afrykańskie nie mogą być przymuszane do zmian w swojej polityce (co, jak wiadomo, ma miejsce w przypadku międzynarodowych instytucji finansowych oraz czołowych państw zachodnich), zaznaczając przy tym, że Chiny nie narzucają nikomu swojej woli ani własnych interesów. Podobne deklaracje stanowią stały przekaz ChRL. Chiński model stosunków doceniany jest nie tylko przez chińskich polityków i ekspertów, lecz także przez niezależnych obserwatorów. Przykładowo prof. Helge Rønning z uniwersytetu w Oslo twierdzi, że chiński tzw. *soft power* implikuje brak zagrożeń oraz zmierza do zwiększenia szans na światowy pokój zamiast obciążających konfliktów i biedy.

I na koniec jedno zdanie o tym, jak Chiny rozumieją demokrację. Zdaniem chińskiego przywódcy Xi Jinpinga, demokracja nie jest dekoracyjnym ornamentem, lecz instrumentem do przekazywania treści, które dotyczą ludzi. Czy aby na tym polega faszyzm?

BOLESŁAW K. JASZCZUK

eprasa.pl bfc461547d

Pozostać anonimowym Miasto

Mówią, że nie wolno. Strajkować, protestować, pikietować, blokować, okupować, skandować, a zwłaszcza pokazywać palcem winnego ludzkiej krzywdy. Jego twarz, łapczywe dłonie, wydęte w grymasie pogardy usta, jego bezczelny wyraz twarzy, imię i nazwisko, adres, numer telefonu, to wszystko jest objęte ochroną RODO. Chodzi więc o to, żeby nikt go w tłumie nie rozpoznał, żeby mu nie rzucano nienawistnych spojrzeń i okrzyków: patrzcie, to idzie człowiek zły, podły, zepsuty do szpiku kości. W swej anonimowości pozostaje ukryty, bezpieczny, by mógł w spokoju, w domowym zaciszu, w cieniu litościwie odgradzającym go od ofiar cieszyć się plugawymi owocami swej chciwości.

Czy ktoś go widział? Nie, ale to on podpisał. I tym podpisem przesądził nasz los. Odchodzimy stąd, mrucząc pod nosem jakieś złorzeczenia. Pomstując na zło, którego nie mogliśmy dojrzeć ani usłyszeć, którego zapachu nie poczuliśmy ani gestów nie dojrzeliśmy. Bo był jak zło wcielone, którego nikt opisać nie potrafi, ale które sprawia ten nieznośny ból w klatce piersiowej, który zabił sąsiada z trzeciego pietra. Boli – zdążył wyszeptać, a jego pobladła twarz zastygła na zawsze. A za nim po schodach poleciały jego meble, sekretarzyk, oprawne w srebro zdjęcie ukochanej, żony, kochanki, a może córeczki… Tego nikt nie wie. Mało go znaliśmy, trzymał się z boku. A teraz leży na progu, a niecierpliwy tragarz wynosi jego dobytek, podnosząc śmiesznie nogi, kiedy przekracza, przestępuje, przechodzi nad nim, nad śmiercią. Wynosząc na śmietnik to, co jeszcze chwilę temu było dorobkiem życia.

Wyrzuciłem – zeznaje komornik przed sądem. Te rupiecie nic nie były warte. A on kurczy się zawstydzony. Bo to, na co pracował tyle lat, nie ma żadnej wartości. Jest wprost na szmelc. Sędzia nie rozumie tych łez. No przecież tak już jest. Wszystko zgodnie.

Maria dostała od nas dokument, który zapewniał, że na razie ma spokój. Jeszcze nie teraz. Nie przyjdą po nią i jej rzeczy. Po synka chorej siostry, który zatrzymał się u nich dłużej, bo siostra wciąż w szpitalu.

Poszła do pracy i tam dosięgnął ją telefon. Marysiu, wynoszą twoje rzeczy. Nie wiem kto. Wyrzucają na wóz. Taki… śmieciowy.

Po 20 minutach jesteśmy na miejscu. Zastawiamy samochodami wyjazd śmieciarki i pokazujemy panu władzy papier z sądu. Było wyraźnie napisane: eksmisja wstrzymana.

Administrator tłumaczy gliniarzom, czego sąd nie wiedział, kiedy wydawał postanowienie o wstrzymaniu eksmisji. Wieczorem było już wreszcie po wszystkim. Przyjechał jakiś gwiazdor (gwiazdki na pagonach) wyraźnie gramotny i kazał wnosić rzeczy Marii z powrotem na górę.

Miasto tętni, jeszcze nie zasypia. Nigdy nie wiadomo, czy do pijaka spod szóstki wzywać pogotowie, czy radiowóz. Najlepiej jedno i drugie. Nigdy nie wiadomo, czy będzie umierał, czy znowu kogoś pobije. Są dwa typy. Uśmiechnięty wyjada klientowi faworki z torebki i pokazuje grubo podkreślone cytaty z gazety o szkodliwości palenia. Ślini się przy tym i uśmiecha. Drugi typ to kędzierzawy. Ten wpada do celi z okrzykiem. Co ja najlepszego zrobiłem! Rozpędza się, na ile może w małej celi, i wali całym impetem łbem w ścianę. I tak kilka razy, aż w końcu ogłuszony już nie wstaje. Mówią, że patologia. A oni są tylko zbuntowani. Niepogodzeni z losem. Uzależnieni i bardzo, bardzo smutni.

Było ich sześciu. Jeden nie miał nogi. Ten wytrwał najdłużej. Stali twardo pod spożywczym i zbierali na piwo czy inny narkotyk. Ale w miarę jak mamusie umierały, lądowali dosłownie na śmietniku i marli jak muchy. Ojciec „pożyczył" im po piątaku i zaczął żądać zwrotu, to się odczepili. Z tych staczy podsklepowych już nie ma ani jednego. Takim to dobrze. Piją sobie, nie pracują. Nikt nie pyta, nikt nie wie, dokąd odeszli.

Dwóch takich prosi o otwarcie klatki. Zimno, a my jesteśmy bezdomniaki, żali się jeden. A nie powinno tak być. Czasy ciężkie. Nawet śmietniki na klucz pozamykali.

Kiedy robiło mu się gorzej, wieźli go na górę. Na oddział. Żył w piwnicy szpitala. Był sercowy i bezdomny. O tym, co jest na dole, góra nie wiedziała i tak było dobrze. Bo pomagać też nie wolno. Są na to przepisy.

Lekarze z niemożliwie wielkimi kontraktami i siostry, które zabierają nieubezpieczonych, często bezdomnych, z SOR-u i kładą na oddział. Młody profesor, dyrektor, chwali się, że jest na pierwszej linii walki z zarazą. To taki współczesny Judym, komentuje podwładny. I już prawie uwierzyłem. Tylko dlaczego odjechał Maserati?

Są starzy, często kalecy. Ich robota to ochrona. Śpią na piętrowych pryczach w małych pomieszczeniach. Każdy grosz wysyłają do siebie na wieś. Im więcej godzin na posterunku, tym więcej można wysłać, więc tkwią na służbie bez wytchnienia. Ktoś nie śpi, by spać mógł ktoś.

PIOTR IKONOWICZ



Ilust. PAWEŁ FERENC

Niewidomy z flintą

Na szczęście Polacy, zamiast z pistoletu, wolą sobie strzelić setkę z zagrychą.



Rys. MARCIN CHUDZIK

W Kenwood, jednej z południowych dzielnic Chicago, 24 sierpnia tuż po godz. 13.00 do mieszkania przy Greenwood Avenue wezwano policję. Na miejscu funkcjonariusze znaleźli nieprzytomnego pięcioletniego chłopca z raną postrzałową głowy. Dziecko nie przeżyło. Zabezpieczono broń. Nie aresztowano nikogo. Pastor, który wspierał rodzinę w szpitalu, przekazał, że chłopiec bawił się niezabezpieczonym pistoletem, który znalazł w domu.

Spluwa pod poduszką

Dwa tygodnie wcześniej na przedmieściach Chicago inny chłopiec, tym razem nastolatek, zginął od strzału oddanego przez starszego kolegę. Młodzieńcy postanowili urządzić sobie zawody w szybkim składaniu broni. Kilka dni wcześniej na południu miasta 14-latek przestrzelił sobie stopę, bawiąc się pistoletem. Tę historię akurat przeżył.

W Stanach Zjednoczonych broni jest więcej niż ludzi. Przeciętny obywatel tego kraju ma do dyspozycji przynajmniej jedną sztukę. Oficjalne dane mówią o prawie 400 mln egzemplarzy broni palnej w rękach cywilów. Ludności – według ostatnich szacunków – jest 340 mln. Żadne inne państwo na świecie nie zbliżyło się do tego poziomu nasycenia prywatnym uzbrojeniem.

Na początku 2025 r., zaledwie w kilka miesięcy w Stanach doszło do co najmniej 150 przypadków nieumyślnych postrzeleń z udziałem dzieci. 60 osób zginęło, 93 zostały ranne. W 2023 r. takich incydentów było 400 – najwięcej w historii.

W marcu w Memphis facet spał ze swoją partnerką. Z nimi w łóżku był pies oraz niezabezpieczony pistolet. Pies, rasy pitbull, wskoczył gwałtownie na łóżko, łapą zahaczył o osłonę spustu, broń wypaliła. W 2018 r. inny pies postrzelił swojego właściciela w Iowa. W 2019 r. w Missisipi labrador nadepnął na strzelbę podczas polowania.

W 2022 r. broń palna była przyczyną śmierci w USA 48 tys. ludzi. Z tego 1 proc. – prawie pół tysiąca – to nie były morderstwa, nie samobójstwa, nie zamachy terrorystyczne. To był czysty przypadek. Broń naładowana, niezabezpieczona, czekająca na dotyk. Czasem dziecka. Czasem psa.

W Stanach broń to symbol. Dla niektórych wolności, dla innych – odpowiedzialności. Nikt nie słucha apeli, nie wyciąga wniosków, nie czyta raportów. Wmawia się Amerykanom, że winni są ludzie, nie przedmioty.

Ciężki, ale stabilny

W spokojnej wsi pod Głogowem w piątkowy wieczór padł strzał. W rękach 43-letniego Tomasza znalazła się jego legalna broń sportowa – pistolet Beretta kaliber 9 mm. Chwilę wcześniej wystrzelona z niego kula przebiła ciało jego 22-letniego syna.

W szpitalu powiedzieli, że stan młodzieńca „jest ciężki, ale stabilny". Ojciec się przyznał. Szczególnie pijany nie był. Prokuratura zastosowała dozór policyjny, zakaz opuszczania kraju i poręczenie majątkowe.

Nie był przestępcą. Miał wszystkie pozwolenia, papiery i licencje. Wiedział, jak rozładować, jak zabezpieczyć, jak mierzyć. Nie wiedział tylko jednego: że wystarczy sekunda nieuwagi, zły kąt, cień alkoholu – i to nie tarcza, lecz człowiek staje się celem. Wideo, które obiegło sieć, trwa 13 sekund. Widać dwóch mężczyzn, słychać głos: „Rozładuj. Po dwa, po prostu sygnalnie". Potem błysk. Strzał. I przekleństwa.

Na strzelnicy w Godawach w powiecie żnińskim odbywało się prywatne spotkanie znajomych. Broń, amunicja, pokaz, trochę adrenaliny. Kula z pistoletu trafiła 70-latka w pośladek. 68-letni sędzia zawodów tłumaczył się, że chciał „pokazać różnicę między amunicją ćwiczebną a ostrą". Problem w tym, że sam już nie wiedział, która jest która. Policja potwierdziła, prokuratura prowadziła śledztwo. Nie było złych intencji, był brak rozsądku.

Napiwoda, powiat nidzicki. Polowanie skończone, mięso w chłodni. Dwóch kolegów rozkłada broń, by ją wyczyścić. 45-latek zapomina, że w komorze został nabój. Kieruje lufę ku ziemi, naciska spust – huk, błysk, odbity pocisk. Chwila ciszy i krzyk. 40-letni kompan trzyma się za nogę. „Mężczyzna został przewieziony do szpitala, jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo" – informuje policja. Obaj byli trzeźwi.

Nie każda broń wymaga pozwolenia, ale każda ma moc. Udowodniono to w Skierniewicach. Facet wraca do domu, w którym czeka na niego partnerka i czwórka dzieci. W kieszeni ma pistolet pneumatyczny. Zaczyna się awantura. Padają wyzwiska, groźby, trzaskają drzwi. Kobieta z dziećmi barykaduje się w drugim pokoju. Mężczyzna wali w drzwi, krzyczy. W końcu podnosi broń. Dwa strzały. Pociski przebijają powietrze, szkło i miękkie ciało dziecka. Siedmioletnia dziewczynka upada, krew sączy się z uda i pośladka.

Gość miał ponad promil alkoholu. Dziecko trafiło do szpitala. Ojciec – do aresztu. Nie był strzelcem, nie miał pozwolenia, nie znał zasad. Ale miał gniew, alkohol i broń, która nie zna różnicy między zabawą a zbrodnią.

Myśliwy się nie starzeje?

W Polsce rośnie liczba pozwoleń. Coraz więcej osób chce mieć pistolet, strzelbę, karabinek. W 2024 r. przekroczono 340 tys. zarejestrowanych sztuk broni palnej cywilnej. W 2025 r. – już ponad 400 tys. Większość dla sportu, część dla obrony, garść dla kolekcji. Co roku przybywa też postrzeleń, wypadków, nieumyślnych ofiar.

Na szczęście w Polsce broń palna nadal pozostaje przedmiotem debaty. Nie fetyszem. Nie prawem obywatelskim. Nie panaceum na zło. Po prostu przedmiotem publicznej rozmowy. W kraju, w którym wciąż więcej ludzi ufa policji niż sąsiadowi z karabinem, zdrowy rozsądek nadal wygrywa z rewolwerowym romantyzmem.

Z badań wynika, że niemal połowa Polaków, dokładnie 47,6 proc., nie widzi potrzeby jakiejkolwiek liberalizacji prawa do posiadania broni. Społeczne poparcie dla masowego uzbrojenia obywateli nie istnieje. Nie wybuchło po ataku Rosji na Ukrainę. Nie wzrosło po pandemicznych napięciach. Nie przekonały do niego ani opowieści o konieczności samoobrony, ani publicystyczne harce tych, którzy wyobrażają sobie, że państwo kończy się tam, gdzie zaczyna się ich magazynek.

Wbrew pozorom, nie wynika to z naiwności. Przeciwnie. Polacy potrafią liczyć. I potrafią wyciągać wnioski.

A w ciągu ostatnich dwóch dekad w Polsce broń palna była przyczyną około 500 zabójstw. Tyle przypadków śmiertelnego użycia broni odnotowano od 2000 do 2015 r. To niewiele ponad 30 rocznie. W tym samym okresie doszło również do 145 przypadków przypadkowych postrzeleń. To wszystko przy populacji liczącej ok. 37 mln ludzi.

W 2022 r. liczba zabójstw w Polsce wyniosła 507 – z czego zaledwie marginalny odsetek został popełniony z użyciem broni palnej. Bo w Polsce panuje przekonanie, że bezpieczeństwo nie wynika z liczby sztuk broni w domach, lecz z liczby procedur, zasad, kontroli. Nie z własnoręcznego strzelania do włamywacza, ale z telefonu na 112 i sprawnej reakcji służb.

Na 100 obywateli przypada u nas około 2,5 sztuki broni. To jeden z najniższych wskaźników w Europie. Ale jednocześnie – jeden z najbezpieczniejszych. Wskaźnik śmierci z powodu użycia broni palnej oscyluje wokół 0,2 na 100 tys. mieszkańców. Dla porównania – w USA to 12,2. Różnica nie jest tylko statystyczna. To różnica cywilizacyjna. O dziwo, społeczeństwo to rozumie.

Ponad 71 proc. badanych opowiada się za wprowadzeniem obowiązkowych badań okresowych dla posiadaczy broni. W przypadku myśliwych – ten odsetek sięga 76,3 proc. Ludzie chcą bezpieczeństwa. Chcą pewności, że ten, kto ma broń – ma ją z sensem.

Że nie jest przypadkiem, błędem systemu, człowiekiem po przejściach, któremu nikt nie zajrzał w oczy ani w kartotekę.

Nie chodzi o to, by ludziom, którzy jej potrzebują, odbierać prawo do posiadania broni. Chodzi o to, by nie robić z tego prawa świętego totemu. Broń to nie relikwia wolności. To nie manifest obywatelskiej dojrzałości. To przedmiot, który zabija. I dlatego musi być pod szczególnym nadzorem. W domu, w lesie, na strzelnicy. U myśliwego i u kolekcjonera. U sportowca i u agenta ochrony.

Dziś badania okresowe obowiązują wyłącznie tych, którzy posiadają broń w celach ochrony osobistej lub mienia. To się ma zmienić. Projekt nowelizacji ustawy o broni i amunicji złożony przez Polskę 2050 zakłada rozszerzenie obowiązku na wszystkich posiadaczy – także sportowców i myśliwych. Poprzedni projekt został odrzucony, ale presja społeczna rośnie.

Zaskoczenia nie ma. W kraju, który nie zafundował sobie masowych strzelanin w szkołach, który nie musi organizować zbiórek na pogrzeby dzieci przypadkowo postrzelonych z broni ojca, który nie ma co miesiąc przypadku psa naciskającego spust – prawo do broni nie jest wartością nadrzędną. Jest narzędziem, które trzeba trzymać w ryzach.

TADEUSZ JASIŃSKI

eprasa.pl bfc461547d

Czego ci nie mówią o pieniądzach

Odcinek 3

Współczesna dziesięcina, ale do kwadratu

W pierwszym odcinku tego cyklu („Skąd się bierze szmal”, „NIE”, nr 45–46/2025) napisałam, że zamierzam Was wkurzyć na kapitalizm. To teraz uwaga: będzie kulminacja!

Jasne, że każdy, kto bierze kredyt, płaci bankowi odsetki, i pewnie domyślasz się także, że płyną one strumieniem do kilkudziesięciu właścicieli połowy naszego globu. Ale co robić? Jak inaczej? Żyjemy teraz, a życie mija. Co nam z tego, że dorobimy się za 30 lat? Bierzemy kredyty.

A jak jest w biznesie? Wiadomo, że prawie nigdy nie robi się inwestycji bez kredytu. To standard. Często kredyt konieczny jest nie tylko po to, by inwestować. Bardzo często z kredytu finansowany jest bieżący obrót albo potrzebny leasing czy faktoring. Kredyt i biznes zawsze, ale to zawsze chodzą w parze i zawsze towarzyszą im odsetki. Tak naprawdę za wszystko, co kupujemy, płacimy nie tylko za pracę, materiały czy transport. Płacimy też za dostęp do pieniądza potrzebnego firmom, fabrykom, hurtowniom, producentom farb, cegieł i okien, żeby mogli w ogóle nam ten produkt dostarczyć.

Gdy bierzesz kredyt, to myślisz: oj tam, oj tam, parę procent odsetek... idzie wytrzymać. Ale czy zastanawiało cię kiedyś, ile odsetek, czyli kredytowego haraczu, mieści się w każdej cenie płaconej za każdą rzecz, którą kupujesz? W jej cenie – czy to książki, którą kupujesz w księgarni, czy w cenie samochodu albo w cenie domu, o którym marzysz – ukryte są skumulowane koszty pieniądza. O tej stronie cen produktów nikt zwykle nie mówi. Ale to właśnie ona decyduje o tym, jak droga staje się nasza codzienność. System odsetkowy oparty na odsetkach to pompa ssąco-tłocząca pieniądze do właścicieli tego świata.

Oszacowałam, ile kosztów odsetkowych kryje się w cenie, jaką zapłacisz w księgarni za książkę. Założenia do kalkulacji: książka o cenie okładkowej 40 zł. Każdy materiał i półprodukt użyty do jej produkcji (papier, wydruk, farby, okładka, transport itd.) był finansowany przez poszczególnych producentów z jakichś kredytów. Za kredyty firmy kupiły maszyny, budynki itp. Zakładam, że koszt odsetkowy danego wyrobu w każdym przypadku stanowi jedynie 5 proc. jego wartości, a bywa znacznie wyższy. Koszty odsetkowe w całym łańcuchu wytworzenia kumulują się na każdym etapie każdego użytego materiału i półproduktu. Bo przecież każdy kolejny element (np. papier w drukarni, drukowanie, transport do księgarni) powstaje na bazie droższego o zapłacone odsetki poprzednika. Sumuję zatem odsetki, idąc od firmy, która wzięła kredyt na zakup maszyn do wyrębu lasu, a dochodzę przez papiernię, drukarnię i pobocznych dostawców do księgarni.

Skalkulowałam to na konkretnym przykładzie – i wyniki są zaskakujące. Okazuje się, że w cenie zwykłej książki za 40 zł zapłacimy za wszystkie odsetki, które prześlizgnęły się przez cały łańcuch produkcji i transportu, od lasu po półki księgarni, nie mniej niż 17 zł.

A jak by to było podczas budowy domu? – pomyślałam. Moje szacunki robią na mnie samej jeszcze większe niż poprzednio wrażenie. W przypadku typowego domu o wartości miliona złotych to – nawet przy ostrożnych założeniach – ok. 200–250 tys. zł jego wartości stanowi koszt pieniądza (odsetki) ukryty w cenach materiałów i usług budowlanych. I to bez uwzględnienia ewentualnego kredytu hipotecznego na budowę! Czyli jedna piąta do jednej czwartej to haracz dla banków. O tej stronie cen produktów nikt zwykle nie mówi. A to właśnie ona decyduje o tym, jak droga staje się nasza codzienność.

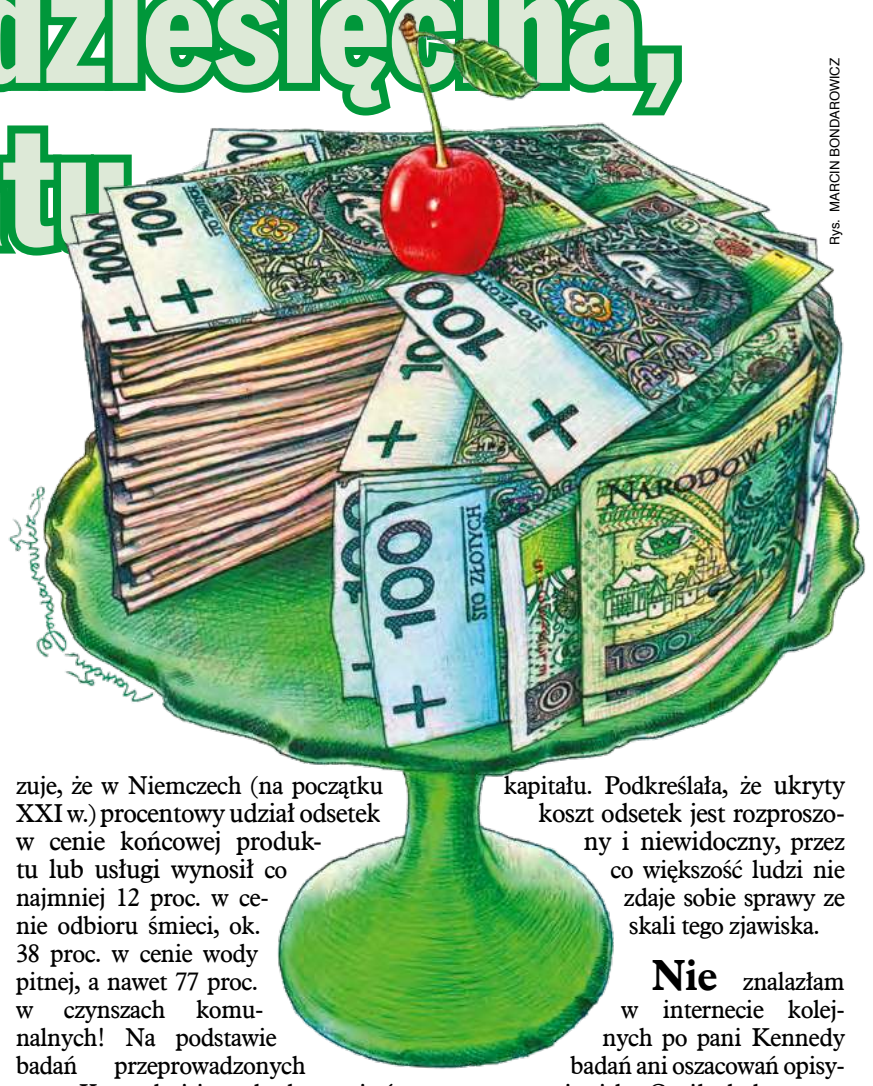
Ale przecież zwykły człowiek nie buduje domu ani nie kupuje mieszkania za gotówkę – bierze kredyt hipoteczny. W Polsce mamy najdroższe kredyty hipoteczne w Europie. Polak, chcąc wybudować dom lub kupić mieszkanie warte np. 900 tys. zł, bierze np. 600 tys. zł kredytu na 30 lat z oprocentowaniem (jak w 2024 r.) ok. 7,9 proc. W całym okresie kredytowania ów człowiek przeleje do banku ok. 1,58 mln zł. Ponad połowa tej sumy, bo aż 970 tys. zł, czyli

61,4 proc. całości kredytu, to same odsetki, czyli koszt pieniądza! To cena za dostęp do kapitału – frycowe dla bankierów.

Co ciekawe, przy takich założeniach co do kredytu i oprocentowaniu 3,3 proc., jakie stosowane jest we Francji czy Hiszpanii, zapłaci się za odsetki jedynie równowartość ok. 350 tys. zł, czyli ok. 22,2 proc. kwoty pożyczonych pieniędzy. Jak widać, w kapitalizmie na cenę naszego domu składają się nie tylko cegły i dachówki, ale przede wszystkim koszt samego pieniądza.

Co więcej, stosowana przez banki konstrukcja umów powoduje, że przez wiele miesięcy kredytobiorca spłaca same odsetki, a kapitał stoi w miejscu, czyli saldo jego zadłużenia nie spada.

Wróćmy do wątku obecności skumulowanych odsetek w niemal każdej płaconej przez nas cenie. Może myślisz, że się pogubiłam w wyliczeniach, które poczyniłam na wstępie? Bo jakże kilkadziesiąt procent ceny to odsetki?! Ależ nie... Sprawdziłam – istnieją badania, które potwierdzają moje oszacowania. Na przykład niemiecka ekonomistka Margrit Kennedy przeprowadziła podobną analizę dotyczącą skumulowanych kosztów odsetek w cenach produktów i usług. Oto główne wnioski z jej badań: każda cena, którą płacimy, zawiera ukryty koszt odsetek wynikający z tego, że producenci, dostawcy, a nawet samorządy finansują inwestycje i działalność kredytem. W swojej pracy („Pieniądz wolny od odsetek i inflacji”) i licznych artykułach Kennedy pokazuje, że w Niemczech (na początku XXI w.) procentowy udział odsetek w cenie końcowej produktu lub usługi wynosił co najmniej 12 proc. w cenie odbioru śmieci, ok. 38 proc. w cenie wody pitnej, a nawet 77 proc. w czynszach komunalnych! Na podstawie badań przeprowadzonych przez Kennedy i innych ekonomistów na początku lat 80. w Niemczech Zachodnich udział tych ukrytych odsetek w ogólnej cenie nowych domów i mieszkań wynosił nawet więcej niż w mojej symulacji, bo od 30 do nawet 50 proc. A w przypadku mieszkań komunalnych aż 77 proc. czynszu to koszt odsetek – czyli zdecydowana większość opłat, jakie ponosił lokator, związana była wyłącznie z kosztami finansowania budowy i utrzymania budynków.



Rys. MARCIN BONDAROWICZ

Kennedy wskazuje, że tylko niewielka część społeczeństwa faktycznie zarabia na odsetkach (osoby z dużym kapitałem), a wszyscy pozostali – ukrytą drogą – je płacą. Szacowała ona, że w Niemczech w 2001 r. poprzez system odsetek następował transfer około miliarda euro dziennie od pracujących do posiadaczy kapitału. Podkreślała, że ukryty koszt odsetek jest rozproszony i niewidoczny, przez co większość ludzi nie zdaje sobie sprawy ze skali tego zjawiska.

Nie znalazłam w internecie kolejnych po pani Kennedy badań ani oszacowań opisywanego tu zjawiska. Czyżby było ono na tyle niemiłe dla finansowego establishmentu, że jest ustawowo karane chłostą? Chłop pańszczyźniany wiedział, co ma oddać panu, a co proboszczowi. Współczesna dziesięcina jest sprytniejsza – ukryta. Ale gdy się chwilę nad tym zastanowić, to przecież oczywista.

A ja pomyślałam: „jak by to wyglądało, gdyby żadnych odsetek na żadnym etapie nie było?”. Ty pewnie pomyślisz, że zwariowałam: „jak to? pieniądz, który nie ma swojej ceny?”. A ja mówię: „czemu nie?”. W jakimś stopniu w lepszym świecie to przecież możliwe i to jest najbardziej wkurzające, że przecież mogłoby tak być, a nie jest. Ale o tym w dalszych odcinkach tej opowieści.

ANNA GRODZKA

Życie w dobrobycie

● Statystycznie Polacy mają dziś więcej pieniędzy niż kiedykolwiek wcześniej. I więcej powodów, by się o nie bać. Hakerzy, włamywacze i wyznawcy metody „na wnuczka”, „policjanta” czy „pracownika banku” mają dziś żniwa. Bo według najnowszych danych aż 69 proc. Polaków posiada jakiekolwiek oszczędności. A jeszcze dekadę temu pieniądze odłożone miała mniej niż połowa społeczeństwa. Przełom nastąpił w czasie pandemii, gdy możliwości wydawania pieniędzy były ograniczone, a niepewność powszechna. Od tego momentu wskaźnik oszczędzających rośnie. Polacy nie tylko częściej oszczędzają, ale też mają z czego. Na koniec pierwszego kwartału zasoby oszczędności gospodarstw domowych przekroczyły 3,5 bln zł. Z tego około dwie trzecie leży w bankach, na kontach i lokatach, a reszta w gotówce schowanej w szufladach, sejfach i bieliźniarkach. Gdy jedni się bogacą, inni pogrążają się w długach. Zadłużenie gospodarstw domowych na koniec marca wyniosło ponad 800 mld zł. W rejestrach dłużników figuruje prawie 400 tys. osób, które mają zobowiązania u co najmniej trzech wierzycieli, a przeciętny dług takiego multidłużnika sięga już 40 tys. zł. Dla oszustów to sytuacja idealna. Bogatsi boją się o swoje pieniądze i chętnie zaufają każdemu, kto dzwoni z ostrzeżeniem z numeru przypominającego bank. Zadłużeni wierzą w cudowną pomoc, gdy ktoś obiecuje „uregulować sprawę z komornikiem”. A ci pośrodku, z paroma tysiącami w skarpecie, ufają, że pan w garniturze, który zapukał, naprawdę jest z administracji osiedla. Policja ostrzega, że wciąż rośnie liczba wyłudzeń na fałszywych krewnych i bankowców. Nie lepiej jest w sieci. Hakerzy mają ręce pełne roboty, bo Polacy klikają we wszystko, co obiecuje zysk. Kto ma konto z oszczędnościami, ten jest na celowniku. W zeszłym roku odnotowano tysiące przypadków przejęcia kont internetowych i wypłat w kilka minut po „zatwierdzeniu transakcji zabezpieczającej”. Paradoks naszego dobrobytu polega więc na tym, że im więcej mamy, tym więcej możemy stracić.



Rys. WIDGET

● Wreszcie wiadomo, dlaczego tylu uchodźców z Ukrainy po kilku miesiącach w Polsce spakowało walizki i ruszyło dalej – na Zachód. Tam, jak się okazuje, można żyć z socjalu. U nas – trzeba pracować. I właśnie dlatego Polska, choć dla wielu przystanek w drodze, stała się jednym z najsprawniej działających silników integracji migrantów w Europie. Bo ci, którzy zostali, nie tylko nie siedzą na zasiłkach, ale budują dobrobyt Polaków. W najnowszym raporcie OECD autorzy podkreślają, że nasz kraj jest jednym z liderów w aktywizacji zawodowej migrantów. „W Polsce pracuje dwa razy większy odsetek imigrantów z Ukrainy niż w Niemczech” – czytamy w opracowaniu. Wskaźnik zatrudnienia ukraińskich imigrantów w Polsce sięga 78 proc., podczas gdy w Niemczech to zaledwie 31 proc., w Irlandii – 35 proc., a w Hiszpanii – ledwie 17 proc. Bo w Polsce, żeby mieć na życie, trzeba na nie zapracować. W Niemczech czy Hiszpanii Ukraińcy korzystają głównie z zasiłków i pomocy społecznej. W Polsce – z ofert pracy. I zamiast kosztu dla państwa, stają się jego zyskiem. W Polsce cudzoziemcy to około 2,7 proc. mieszkańców. W Niemczech to ponad 19 proc. Widać więc, że w Polsce nie ma masowej imigracji, jest za to coś cenniejszego – imigracja pracująca. Bezrobocie wśród migrantów w Polsce to zaledwie 3,4 proc. – drugie najniższe w Europie po Węgrzech. Dla porównania, w Szwecji przekracza 16 proc., a w Finlandii – 16,7 proc. Polska nie stała się krajem socjalu, tylko krajem roboty. To dlatego wielu uchodźców, którzy przyjechali do Polski w 2022 r., po kilku miesiącach ruszyło do Niemiec, Hiszpanii czy Francji, gdzie praca nie jest warunkiem przeżycia. Cudzoziemców zatrudnionych w Polsce jest już ponad 1,06 mln, a ich udział w sile roboczej rośnie. Ba, wskaźnik zatrudnienia obcokrajowców w Polsce – 81,1 proc. – jest wyższy niż wśród samych Polaków – 74,6 proc. To znaczy, że imigranci pracują więcej, chętniej i częściej. Zaś Polacy, którym praca mniej się uśmiecha, wybierają kierunek odwrotny. Do Niemiec co roku wyjeżdża wciąż około 100 tys. naszych rodaków, do Holandii – 25 tys., do Norwegii – kilka tysięcy. Wciąż żyje tam prawie 1,6 mln Polaków. I choć nie wszyscy wyjeżdżają po zasiłek, to wielu z nich przyznaje, że na Zachodzie po prostu żyje się łatwiej. W najnowszym raporcie OECD pada stwierdzenie: „Polska jest jednym z czołowych krajów OECD przyjmujących zagranicznych pracowników tymczasowych”. Brzmi to jak definicja zdrowego rozsądku.

● Polacy od dawna lubią gotówkę – pachnącą, ciepłą, najlepiej złożoną w kostkę w bieliźniarce, a nie na koncie. Ostatnie dane NBP pokazują, że ta miłość nie słabnie. Co ciekawe, wzrost ilości gotówki w obiegu przypada na czas rządów koalicji, która jeszcze niedawno chwaliła się cyfryzacją, fiskalizacją i walką z szarą strefą. A tu gotówki przybywa. We wrześniu dynamika ta przyśpieszyła do 13,6 proc. rok do roku. To najwyższe tempo od kwietnia 2022 r., kiedy Polacy masowo wyciągali pieniądze po wybuchu wojny w Ukrainie. Dziś nie ma paniki, a mimo to gotówki w obiegu przybyło aż 11,9 mld zł w jeden miesiąc, przy średniej z ostatnich lat wynoszącej zaledwie 3,3 mld. Według NBP udział gotówki w podaży pieniądza wynosi już 16,7 proc. Dwa lata przed pandemią było to niespełna 14 proc. W 2020 r. – 16,3 proc. Wydłuża się okres rotacji gotówki – w 2024 r. banknot wracał przeciętnie do NBP po 675 dniach wobec 605 dni rok wcześniej. Czyli Polacy nie wydają, tylko chowają. Nie w banku, nie na koncie, tylko w szafie, sejfie, słoiku.
I to nie jest efekt biedy. To efekt nieufności. Tylko że gdy oficjalne badania pokazują, iż odsetek osób preferujących płatności gotówkowe od kilku lat stoi w miejscu (ok. 30 proc.), a liczba transakcji gotówkowych nawet spada, to skąd bierze się ten lawinowy przyrost banknotów? Część pewnie ląduje w domowych bieliźniarkach – na czarną godzinę. Ale reszta? Wędruje „pod stół”. Część płatności omija skarbówkę. Transakcje bez paragonu, wypłaty do ręki, „koperty wdzięczności” mają się, widać, coraz lepiej. Jeszcze kilka lat temu to PiS z dumą broniło gotówki jako „wolności obywatelskiej” i „prawa do prywatności”. A dziś, gdy przy władzy jest koalicja, która miała tę wolność opodatkować i ucyfrowić, gotówki w obiegu przybywa szybciej niż za poprzedników. Tak więc Polacy nie przestali ufać bankom – po prostu coraz bardziej ufają sobie. Gotówka wciąż płynie, tyle że bokiem. Zaś „dobrobyt spod stołu” ma się w Polsce całkiem nieźle.

● Skoro dzięki gotówce część płatności schodzi z radaru fiskusa, to rząd kombinuje, jak by tu kasę obywateli przytulić z innej strony. Oczywiście pod hasłem, że im więcej wpływa do kasy państwa, tym więcej można inwestować w szczęście podatnika. Tym razem wpadł na pomysł z gatunku tych, które nie wymagają zbyt wiele, a mogą przynieść miliardy. „Już od 1 grudnia sieć dróg objętych elektronicznym poborem opłat w Polsce powiększy się o kolejne 645 kilometrów” – głosi projekt rozporządzenia wpisany do wykazu prac rządu. Obecnie e-TOLL obejmuje 5225 km dróg krajowych, a po zmianie będzie to już 5869 km. W Kancelarii Premiera mówią wprost: aktualne stawki, waloryzowane co roku o inflację, „nie wystarczają na pokrycie kosztów inwestycji drogowych”. Co więcej, nasze opłaty są „niższe w porównaniu z krajami sąsiednimi”. Czyli skoro Niemiec płaci więcej, to Polak też może. I zatem w 2026 r. wpływy z opłat mają wzrosnąć o 2,77 mld zł. Dla porównania, cały Krajowy Fundusz Drogowy w tym samym roku planuje zebrać z opłat 6,6 mld zł. System e-TOLL, który zastąpił viaTOLL, polega na tym, że satelity śledzą pojazdy, a urzędnicy – kierowców. Każda ciężarówka, autobus czy nawet auto z przyczepą powyżej 3,5 tony musi mieć wbudowany lokalizator i aplikację e-TOLL PL. Dane płyną do Krajowej Administracji Skarbowej, ta nalicza opłaty, a budżet się cieszy. Za brak opłaty, błędne dane albo inne „nieprawidłowości” są mandaty – od 250 do 1500 zł. Kara tylko jedna dziennie, więc kierowca nie zbankrutuje z dnia na dzień. W listopadzie 2024 r. sieć płatnych dróg już powiększono o 1600 km. Teraz kolejna porcja – 645 km. Władza tłumaczy też, że wyższe opłaty mają walor ekologiczny. Skoro ciężarówki zapłacą więcej, to może towary przesiądą się na kolej albo barki. A że w Polsce sieć kolejowa ledwo zipie, a barki po Wiśle nie pływają… Ważne, że brzmi światowo i zielono.

TTJ

eprasa.pl bfc461547d

Gdyby prawo było inne, mielibyśmy pewnie innego prezydenta.

Ostateczne rozwiązanie kwestii kibolskiej



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Mierząc poziom cywilizacji liczbą ustawionych bójek, Polsce bliżej byłoby dziś do Somalii niż Szwajcarii. Choć na pierwszy rzut oka wszystko wygląda jak kibicowska tradycja – szalik, barwy, zakaz stadionowy – w rzeczywistości mamy do czynienia z gangreną, która w dziwny sposób jest pielęgnowana przez państwo. Bo ustawki pseudokibiców to nie wybryk sfrustrowanych nastolatków, tylko forma rekrutacji do zorganizowanej przestępczości. A policja, zamiast coś z tym fantem zrobić, wciąż stosuje uniki, jakby miała nadzieję, że to samo się rozwiąże.

Ustawkowicze

Zaczyna się niewinnie. Gdzieś na uboczu, w lesie, przy stacji benzynowej lub na poboczu autostrady zbierają się chłopy. Po jednej stronie z Kalisza, po drugiej z Wrocławia. W samochodach – rękawice, ochraniacze na szczęki, kominiarki z emblematami klubowymi. W głowie – adrenalina i proste jak cep zasady: bijesz, przeżywasz, jesteś swój. Nie bijesz – jesteś nikim.

Jak relacjonowała łódzka policja, w jednej z takich leśnych ustawek pod Zgierzem zidentyfikowano 95 facetów. Najmłodszy miał 16 lat, najstarszy 50. Wszyscy zgodnie udawali, że nie wiedzą, dlaczego akurat w sobotni poranek postanowili spotkać się na opuszczonej stacji benzynowej. Część z nich była znana gliniarzom z udziału w podobnych zajściach. Wśród uczestników znajdowała się też osoba poszukiwana do doprowadzenia do prokuratury.

Kiedy w maju mieszkańcy gminy Szczytniki zauważyli kolumnę samochodów wjeżdżającą na leśną drogę, natychmiast zaalarmowali służby. Policja z Kalisza, wspierana przez poznańską, szybko odcięła teren. 23 mężczyzn próbowało uciekać przez las. W ich samochodach znaleziono kominiarki, ochraniacze, a także symbole klubowe. „To nie są żarty, to działania przestępcze, które będą konsekwentnie ścigane” – przyznała rzecznik kaliskiej policji.

Zupełnie niedawno, pod koniec września, na boisku B-klasowym w rybnickich Chwałowicach prawie doszło do konfrontacji 60 kiboli ROW-u Rybnik i Odry Wodzisław. Policja z Katowic opublikowała nagranie z interwencji. „Dzięki szybkiej reakcji naszych funkcjonariuszy nie doszło do eskalacji konfliktu” – podkreślali mundurowi.

Podobne akcje mają miejsce w całej Polsce. Na początku czerwca w woj. wielkopolskim funkcjonariusze powstrzymali grupę pseudokibiców szykujących się do walki w lesie niedaleko Konina. W lipcu CBŚ udaremniło kolejną ustawioną bijatykę – tym razem pod Piotrkowem Trybunalskim – między kibolami Widzewa i ŁKS-u. Tam również doszło do zatrzymań i zabezpieczenia sprzętu bojowego.

W żadnym z tych przypadków nikt nie zginął. Liczba poszkodowanych nie jest znana, bo nikt nie zgłasza się do szpitala z obrażeniami, które powstały „przypadkiem” w lesie. Często lokalni lekarze mają milczące porozumienie z kibolami: żadnych pytań, żadnych zgłoszeń. Zresztą ustawka to nie tylko bijatyka. To rytuał przejścia. Pierwszy test. Jeżeli wytrzymasz, wchodzisz do środowiska. A wtedy zaczyna się prawdziwa robota.

Ferajna w szalikach

Ta zaś to realizowanie przestępczych interesów pod przykrywką kibicowania. Bo gangi kiboli to nie romantyczna opowieść o miłości do klubu. To zorganizowane grupy przestępcze, które handlują narkotykami, bronią, piorą pieniądze, ściągają haracze i nawet prowadzą interesy z odwiecznymi wrogami, bo – jak mówią funkcjonariusze – „pieniądze są ponad konfliktami”.

Przykład? Pseudokibice Legii Warszawa stworzyli jedną z największych siatek narkotykowych ostatnich lat. Marihuana płynęła z Hiszpanii, kokaina i syntetyki – z Holandii. Towar rozchodził się po całym kraju. W mieszkaniu jednego z członków znaleziono 3 kg czystej kokainy. U innego – ponad 20 kg mefedronu. A wszystko to pod osłoną barw klubowych i gadki o „tradycji”.

Jak tłumaczą śledczy: „To środowisko działa jak mafijna struktura. Jest lider, są wykonawcy, jest lojalność i brutalne rozliczenia. Pseudokibice to dziś przede wszystkim przestępcy. Kibicowanie to dla nich zaledwie tło”.

„W Białymstoku działają co najmniej trzy zorganizowane grupy pseudokibiców, które nie tylko organizują ustawki, ale także kontrolują obrót narkotykami i wymuszają haracze” – mówi anonimowy funkcjonariusz z Podlasia. „Mają hierarchię, system kar, własne kanały łączności”.

We Wrocławiu CBŚ rozpracowywało grupę związaną z lokalnym klubem piłkarskim, która zajmowała się rozprowadzaniem mefedronu i amfetaminy. Zatrzymano 11 osób, znaleziono setki tysięcy złotych, broń, a nawet maszyny do produkcji narkotyków. Przy okazji zatrzymań policjanci odnaleźli też listy osób objętych ochroną i tych, którzy mieli być „do odstrzału”. „To nie jest już żaden fanclub. To struktury mafijne” – mówią funkcjonariusze.

W Poznaniu jeden z gangów kibolskich handlował sterydami i narkotykami wśród młodzieży. „Wprowadzili się do lokalnych siłowni, zwerbowali trenerów personalnych. Ci wciskali nieletnim towar pod pozorem suplementów” – relacjonuje inspektor z wielkopolskiej policji.

Wszystkie te działania mają jeden cel: pieniądze. Ustawki są środkiem selekcji, ale prawdziwy zysk zaczyna się później.

Głaskanie po główkach

Policja, zamiast zajmować się realnymi zagrożeniami, musi ścigać bandziorów udających kibiców. Oddziały prewencji są przerzucane z jednego krańca kraju na drugi. Monitoruje się fora, analizuje przejazdy, wprowadza się nadzór nad imprezami masowymi, które nie mają nic wspólnego ze sportem. To wszystko kosztuje miliony. Może więc czas powiedzieć wprost: skoro tak bardzo chcą się bić – niech się biją.

W ciągu ostatnich 18 miesięcy policja interweniowała przy ponad 120 zgłoszeniach dotyczących planowanych ustawek. 70 z nich udało się powstrzymać w fazie przygotowań. Reszta została przerwana w trakcie. W wielu przypadkach informacje uzyskano dzięki analizie internetowych forów, grup zamkniętych i przesłuchaniom zatrzymanych.

Komenda Główna Policji przyznaje: „To wymaga ogromnego nakładu sił. Często działamy prewencyjnie, monitorując środowiska pseudokibiców, ich ruchy, kanały komunikacji. Ale nie jesteśmy w stanie przewidzieć wszystkiego”.

W samym woj. śląskim w pierwszym półroczu 2025 r. policja wydała ponad 1,2 mln zł na działania związane z zapobieganiem ustawkom. W skali kraju suma ta sięga kilkunastu milionów rocznie. Są to koszty logistyki, paliwa, delegacji, analizy danych, pracy operacyjnej i udziału specjalistycznych oddziałów.

„Czasem zastanawiamy się, czy nie byłoby łatwiej po prostu pozwolić im się wybić nawzajem. Ale to nierealne. Musimy działać, żeby chronić ludzi postronnych” – przyznaje jeden z oficerów oddziału prewencji.

Może więc niech ustawki znajdą nową formułę. Nie w centrum miasta, nie na stacji benzynowej, nie przy DK12 czy A1. Nie w lesie, gdzie przypadkowy spacerowicz może dostać rykoszetem.

Niech policja otoczy teren. Niech nagra z ukrycia. Niech zabezpieczy wszystko dookoła, by nie ucierpiała żadna postronna osoba. A potem? A potem niech tych, co przeżyją, zamknie na długie lata, bo będzie za co. Resztę – zgodnie z procedurą – odwiezie się w czarnych workach albo karetkach.

A na dodatek ranni w takich akcjach kibole nie mają prawa być leczeni za kasę z NFZ. Prościej się już nie da.

Bo nie powinno chodzić o zdrowie i życie bandziorów. Ale o nas. O nasze bezpieczeństwo, nasze pieniądze, nasz system. Skoro chcą się eliminować – niech to robią. Policja zabezpiecza przecież marsze, koncerty, pielgrzymki. Może więc czas zabezpieczyć także ustawki. Tylko nie po to, by ochronić bandytów. Ale po to, by dać im szansę popełnić wszystkie możliwe przestępstwa pod okiem kamery. A potem osądzić i zamknąć.

Takie rozwiązanie, choć brutalne w formie, byłoby przynajmniej uczciwe. I skuteczne. W końcu biją się nie dla klubu. Biją się, bo mogą. Może już czas, by przestali móc.

ADRIAN SIECZKOWSKI

Średnica niemożności

Łódź udowadnia, że chcieć to nie móc

Zaczęło się jak zawsze od wielkiej obietnicy. Tunel średnicowy w Łodzi miał być nie tylko inwestycją – miał być wyrazem aspiracji. Miał Łódź zamienić w europejskie miasto kolei dużych prędkości, podziemnych przesiadek i dumy z bycia w centrum. Dosłownie – w centrum Polski i Europy. „To będzie komunikacja na wyższym poziomie” – deklarowała Hanna Zdanowska, a lokalne media już szykowały bilety miesięczne do metra. Ba, w czerwcu 2024 r. dodała, że tunel może służyć także jako schron.

„To dla Łodzi prawdziwa rewolucja. Tunel zmieni sposób, w jaki funkcjonujemy jako miasto. Przestaniemy być komunikacyjną wyspą” **– Hanna Zdanowska, prezydentka Łodzi, w 2017 r.**

Inwestor – PKP Polskie Linie Kolejowe – ogłosił projekt jako kluczowy dla całego węzła kolejowego Łodzi i połączeń Warszawa–Poznań–Wrocław. W komunikacie z grudnia 2023 r. napisano: „Termin zakończenia budowy podziemnego połączenia kolejowego zaplanowano na 2024 r., a uruchomienie pociągów – w 2025 r.”. W tamtym momencie wszystko wydawało się możliwe: harmonogram ambitny, wykonawcy dobrani, władze miasta zaangażowane, mieszkańcy pełni nadziei. Finansowanie – znaczna część z pieniędzy z Unii Europejskiej. Wybór wykonawcy – konsorcjum z liderem PBDiM z Mińska Mazowieckiego – ogłoszono jako gwarancję eksperckości. Podpisywano aneksy, sypały się miliony, a każdy komunikat brzmiał nader radośnie. Idziemy, drążymy, będzie pięknie.

„To jeden z najważniejszych projektów kolejowych w Polsce. Łódź zyska nową jakość podróżowania, ale też prestiż metropolii” **– Andrzej Adamczyk, minister infrastruktury z PiS, w 2019 r.**

Na plac budowy wjechała tarcza drążąca TBM „Katarzyna” – symbol nowoczesności i przepotężnych ambicji. Maszyna o średnicy ponad 13 m miała przeciąć centrum miasta. Równolegle wystartowała tarcza „Faustyna”, mniejsza, lecz równie skomplikowana, dla jednotorowych odcinków.

„Na rok 2024 przejdą kwestie związane z testami i odbiorami” – mówił członek zarządu PLK. Ale zaczęły wychodzić pierwsze rysy – dosłownie. Okazało się, że nad trasą planowaną podziemnie znajduje się 198 budynków możliwych do wzmocnienia, z czego 25–30 w najgorszym stanie. „Sugerowałam od początku, że najlepiej byłoby, żeby budynki o najtrudniejszej strukturze zwyczajnie nad tym tunelem zostały wyburzone. Wtedy myślę, że mielibyśmy już dawno zakończony proces budowy” – mówiła prezydentka Zdanowska. Zamiast wyburzeń rozpoczęto wzmacnianie.

„Rozpoczynamy operację bez precedensu w historii polskiego kolejnictwa – drążenie tunelu o długości ponad 7 km pod ścisłym centrum miasta” **– Arnold Bresch, członek zarządu PKP PLK, w 2020 r.**

Tymczasem zawaliła się podłoga jednej z kamienic, później pękła ściana. Tarcza „Katarzyna” zatrzymała się. Ekspertyzy gruntowe i budynkowe przeciągały się miesiącami. Koszty rosły. Mieszkańcy – wielu z nich wywiezionych z domów – pozostawali w zawieszeniu. Zdanowska w lipcu 2025 r. mówiła: „Rzecz, która spędza mi sen z powiek, to sytuacja mieszkańców”.

Mieszkańcy masowo zaczęli sygnalizować pękające ściany i wibracje. Wyburzenia więc ruszyły. We wrześniu 2024 r. wydano zgodę na rozbiórkę budynku przy ul. Próchnika 16. Tymczasem budżet przewidziany na wzmocnienie podłoża pojawiał się dopiero w aneksach i negocjacjach z wykonawcą. Mieszkańcy musieli opuścić domy. 283 osoby przesiedlono. Hotel, wynajem, tymczasowe schronienia. Koszt? Już ponad 20 mln zł. Ale tego nie widać w folderze inwestycyjnym. Słychać za to ludzi mówiących: „Nasze życie zawaliło się razem z tą podłogą”.

„Analizujemy dostępne rozwiązania. Metoda górnicza jest jedną z możliwych opcji dla wybranych odcinków budowy tunelu” **– Rafał Wilgusiak, zespół prasowy PKP PLK, wrzesień 2024 r.**

Od tej pory media pisały tylko jedno – budowa stoi. PLK zapewniały, że nie rezygnują, ale nie powiedziały, kiedy ruszą. Wiceminister infrastruktury Piotr Malepszak w październiku 2025 r. rzucił termin: 2029. Czyli jak dobrze pójdzie, w następnej kadencji.

Zdanowska chodziła po wywiadach jak po polu minowym. „Obrywa mi się za tę inwestycję” – mówiła w lipcu 2025 r., i trudno się dziwić. Bo ile można tłumaczyć, że się nie miało wpływu, że to nie ten szczebel, że inwestor gdzie indziej, a wykonawca tam, gdzie zawsze – poza zasięgiem.

Według fachowców to nie były drobne błędy. Uznano, że jeden wielki tunel – ogromny, efektowny, pełen prestiżu i metrów sześciennych – to rozwiązanie najlepsze z możliwych. Zdanowska wspominała potem bez entuzjazmu, że „zamiast dwóch mniejszych tuneli wybrano jeden większy, co się dziś mści”. No ale cóż, na papierze wszystko się mieści, także megalomania.

Potem przyszła kolej na decyzje o budynkach. Prawie 200 kamienic, z tego kilkadziesiąt w stanie, który w normalnym kraju kwalifikowałby się na plan zdjęciowy do horroru klasy B. I co zrobiono? Oczywiście: nie wyburzono. Bo kto dziś ryzykuje gniew mieszkańców, zdjęcia dzieci przy ruinach i kolejną falę medialnych oburzeń? Więc wzmacniano i wzmacniano. Aż wzmocniono tak skutecznie, że pękły sufity. Bo lepiej wydawać miliony na ochronę tego, co już nie chroni, niż przyznać się do błędu.

„W hotelach i rezydencjach hotelowych przebywają 122 osoby. Robimy wszystko, by zapewnić im bezpieczeństwo i komfort” **– przedstawiciel PKP PLK podczas Komisji Infrastruktury Sejmu w czerwcu 2025 r.**

A później? Finansowa „korekta rzeczywistości”. Już w 2023 r. wykonawca sygnalizował, że coś tu się nie spina. Że bez aneksów nie da się ruszyć dalej, że bez mediacji z PLK wszystko się rozsypie jak gips na ścianie budynku. Zgłoszono potrzebę przesunięć finansowych, ale reakcja przyszła późno – jak zwykle, gdy wszystko już zaczyna przeciekać, skrzypieć, wybuchać. „Firma ma się dobrze w części drogowej – w tunelowej nie bardzo” – mówili bez entuzjazmu przedstawiciele PBDiM.

A nadzór? A komunikacja? A odpowiedzialność? Tutaj dopiero zaczyna się opera. Miasto mówi, że nie ma wpływu, bo nie jest stroną. PLK mówi, że wszystko działa. Mieszkańcy – że nikt z nimi nie rozmawia. Kiedy trzeba było decydować, kto ma komu coś powiedzieć, zapadła cisza. Zdanowska spotyka się z wykonawcą „grzecznościowo” – jakby to była kawa u cioci, a nie rozmowa o milionach i pękających stropach.

I wreszcie moment największego absurdu: po zawaleniu kamienicy zaczęto rozważać zmianę technologii. Po pięciu latach, po wbiciu milionów w beton nagle rozważa się, że może jednak metoda górnicza. Jakby po połowie meczu piłki nożnej ktoś zaproponował, że może dokończymy w szachy. To nie są pomyłki. To jest system i to wcale nie pisowski.

„Nie mam nic do powiedzenia w tej sprawie. Wszystkie decyzje zapadają poza miastem. Mogę co najwyżej zadzwonić” **– Hanna Zdanowska, październik 2025 r.**

CPK już zapowiada, że kolejny tunel pod Łodzią – dla KDP – zacznie się w 2026 r. Ma być gotowy trzy lata później. A ten pierwszy? Nadal nie wiadomo, czy się ruszy. Czy będzie równoległe drążenie obok martwej maszyny.

Tunel średnicowy miał być fundamentem nowej Polski kolejowej. Łódź miała zostać głównym węzłem – w centrum układu KDP – nowoczesnych przesiadek, wygodnych przejazdów. Miał być dowodem, że Polska umie więcej niż budować stadiony i autostrady z chińskich prefabrykatów. Dziś nie jest niczym z tych rzeczy. Jest symbolem niemocy. Jest przestrogą. Jest ostrzeżeniem. Jest pytaniem, jakim cudem chcemy budować przyszłość, skoro nie umiemy wykopać dziury w ziemi. Czy naprawdę umiemy budować wielkie rzeczy, czy jedynie o nich mówić?

TOMASZ BOROWIECKI

eprasa.pl bfc461547d

Disneyland wpierdolu



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Uwiedziona ciekawymi zwiastunami udałam się na seans filmu „Dom dobry” w reżyserii Wojciecha Smarzowskiego. Istotnie, obraz jest niezły, ale oczekiwania co do jego społecznej roli zdecydowanie na wyrost.

W zalewie medialnych dyskusji o filmie padło stwierdzenie, że prawie każdy widz będzie mógł się z „Domem dobrym” utożsamić, bo większość społeczeństwa jeśli nie doświadczyła bezpośrednio przemocy domowej, zna kogoś, kto był jej ofiarą. Z tego też powodu film niczym mnie nie zaskoczył, ale to nie zarzut – po prostu znam podobne historie z własnego otoczenia.

Smarzowski, opowiadając o piekle psychicznego i fizycznego wpierdolu, jakiego młoda kobieta, Małgorzata, doświadcza ze strony męża Grzegorza, czerpał ze złotych standardów społecznych w kraju nad Wisłą. Matka ofiary jest zgorzkniałą, wiecznie krytykującą córkę alkoholiczką, której emocjonalne wyskoki wpychają Gośkę w ramiona oprawcy. Przyjaciele Grześka w imię interesów wolą przymknąć oko na psychotyczny temperament kumpla. Jak się zresztą okazuje, jeden z nich podziela pasję kolegi i w czterech ścianach własnego domu urządza małżonce prywatne Guantanamo. Akcja filmu toczy się w małym miasteczku, gdzie znajomości głównego bohatera – miejskiego radnego – z policją i prokuraturą zapewniają mu dupochron. Skutkiem tego stróże prawa indagują główną bohaterkę, czy znudził się jej mąż, a po obejrzeniu nagrania, na którym zbiera cięgi, pytają, czym sprowokowała ślubnego. Spektaklem nieszczęścia z doskoku dyryguje pleban pod niezniszczalnym szyldem, że rodzina jest najważniejsza. Są i instytucje pomocowe, które same muszą się boksować z wykolejonym systemem. Swojskość tych patologii sprawia, że chciałoby się powiedzieć „ale to już było”. Smarzowski jednak dzięki sprytnemu zabiegowi zapobiegł możliwości oskarżenia jego produkcji o powtarzalny tani marketing obnażania prawdy.

Im bardziej bohaterka jest straumatyzowana przez małżeńską przemoc, tym bardziej rozpada się czas filmowej opowieści. W pewnym momencie obraz zamienia się w labirynt retro- i futurospekcji. Poszatkowana fabuła zgrabnie oddaje stan psychiczny ofiary, która poddana fizycznym torturom, wachlarzowi manipulacji i wtórnej wiktymizacji wpada w tryby mechanizmów uniemożliwiających wyrwanie się z chorej relacji.

Na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni „Dom dobry” całkowicie olano podczas gali wręczenia nagród, a krytycy prześcigali się w porównaniach do produkcji Patryka Vegi i oskarżali Smarzowskiego o epatowanie pornografią przemocy. Zarzuty wydają się dalece niepoważne, jeśli wziąć pod uwagę, że reżyser przygotował scenariusz we współpracy z m.in. Środowiskowym Ośrodkiem Pomocy Społecznej w Brwinowie, fundacją Feminoteka i samymi ofiarami małżeńskiej miłości na wspak.

Iwona Karaś, która kierowała Specjalistycznym Ośrodkiem dla Ofiar Przemocy w Łodzi i przez 30 lat pracowała z maltretowanymi kobietami, w wywiadzie dla „Wysokich Obcasów” powiedziała, że film można traktować jako przestrogę, która ochroni przed losem ofiary. Coś w tym jest, bo Smarzowski zgrabnie pokazał, że przemoc nie rodzi się z dnia na dzień. Pojawiają się symptomy, które często trudno dostrzec, będąc w fazie zauroczenia partnerem. Ba, nawet w pierwszych scenach filmu, kiedy jeszcze nic nie zwiastuje piekła pożycia z katem, wyłapie je tylko wprawne oko.

„W kwestii przemocy domowej Smarzowskiego interesują najbardziej nie jego ofiary, a właśnie przemoc. Dostajemy rewię tortur, którym poddawana jest bohaterka. Zamiast empatii – dokręcanie śruby. Tylko po kilku okropnych obrazach kolejne nie robią żadnego wrażenia” – napisał na portalu Filmweb dziennikarz filmowy Jakub Izdebski. W podobnym tonie wypowiedział się aktor i krytyk filmowy Marcin Prymas: „Pornografia przemocy domowej podana w formie wciąż powtarzających się tych samych scen”.

Pamiętam, kiedy w 2002 r. na ekrany kin wszedł francuski film „Nieodwracalne” w reżyserii Gaspara Noégo. Obraz za pomocą dwunastu scen zmontowanych chronologicznie od ostatniej do pierwszej pokazywał historię dwóch mężczyzn, którzy szukali po paryskich melinach człowieka odpowiedzialnego za gwałt i zmaltretowanie kobiety jednego z nich. Scenę gwałtu analnego na głównej bohaterce granej przez Monicę Bellucci opisywano jako przerażająco brutalną. Zupełnie jakby gwałty zwykle bywały lekko niekomfortową nieprzyjemnością. Czy są jakieś okoliczności, wobec których gwałt może nie być brutalny?

Bohaterka „Domu dobrego” jest bita, gwałcona, kopana, prowadzana na smyczy jak pies i duszona foliową torebką. Zostaje też wyrzucona z domu w bieliźnie na deszcz. Okazuje się jednak, że obraz tego, jak wygląda codzienność ofiar przemocy domowej, można sprowadzić do studium znudzenia formatem.

Może i w Polsce według danych z procedury „Niebieskiej Karty” za rok 2022 odnotowano blisko 1,8 tys. przypadków przemocy seksualnej w kontekście przemocy domowej – ale żeby zaraz dwa gwałty na film? Tłuczenie głową partnerki o blat stołu czy framugę drzwi może się sprzykrzyć nie tylko krytykom filmowym. W 2020 r. w wyszukiwarkę Google 163 mln (!) razy wpisano zapytanie „Jak bić kobietę, żeby nie było śladów?”.

Na szczęście dla Smarzowskiego filmowa Gośka uchodzi z życiem, więc trudno zakończenie filmu nazwać sztampowym (wbrew pozorom to nie spoiler). Szacuje się, że w ojczyźnie Jana Pawła II rocznie wskutek zabójstw i śmiertelnych pobić z rąk partnerów życie traci 400–500 Polek. Na państwie polskim – podobnie jak na krytykach filmowych – nadmiar atrakcji tej maści nie robi wrażenia, dlatego w przeciwieństwie do części innych krajów europejskich nie wprowadziło do prawa karnego zbrodni kobietobójstwa. Cóż to takiego? Skrajna forma przemocy wobec kobiet i dziewcząt, wynikająca m.in. z mizoginii, poczucia wyższości czy chęci kontroli.

Jeśli ktoś musi obejrzeć „Dom dobry”, by dowiedzieć się o istnieniu, skali i tragedii przemocy domowej, korupcji w policji czy destrukcyjnym wpływie kleru na tę patologię społeczną, to znaczy, że wcale nie interesował się tematem.

Jeśli natomiast ktoś, kto film obejrzał, uważa, że nachalnie epatuje brutalnością, jest najlepszym świadectwem tego, że takie kino jest potrzebne.

Czy film coś zmieni? Szczerze wątpię, choć chciałabym wierzyć, że jest to jakiś początek. Trudno jednak w tej wierze pokładać większe nadzieje. Jedynka Polskiego Radia w kontekście „Domu dobrego” o przemocy wobec kobiet rozmawiała z Urszulą Nowakowską, prawniczką i założycielką Centrum Praw Kobiet, wobec której warszawska prokuratura prowadzi dwa postępowania: o wieloletni mobbing swoich pracowniczek (część z nich znajduje się pod opieką psychiatryczną) oraz sprzeniewierzenie milionowego grantu z UNCHR na budowę tzw. bezpiecznej przestrzeni dla kobiet z Ukrainy. Zapewniam, że to nie Smarzowski serwuje surrealizm.

IDALIA DUBICKA

Wokół filmu „D

Ta wrześniowa sobota 1988 r. to miał być fajny dzień. Pojechaliśmy z dziadkiem, babcią i moim siedmioletnim bratem do sąsiedniej wsi na festyn, któremu towarzyszył turniej piłkarski kilku okolicznych drużyn. Okazało się, że nasz zespół, w którym przed laty grał mój dziadek, wygrał. Dziadek wypił sporo, co nie przeszkadzało mu wrócić z nami polonezem do domu.

Dziadek był w zaczepnym nastroju, ówczesny partner mojej mamy miał krótki lont i nie pozwalał sobie w kaszę dmuchać. Od słowa do słowa doszło między nimi do awantury, każdy z nich chciał dowieść, kto jest większym macho. Jak to zwykle bywa w takich razach, kobiety próbowały rozdzielić nabuzowanych facetów. Dziadkowi bardzo nie spodobało się, że ktoś mu wchodzi w drogę. Skoro nie znalazł ujścia w bitce z przyszłym zięciem, dotkliwie pobił babcię, pięściami po twarzy i głowie.

Do dziś pamiętam tę scenę, choć wolałabym ją trwale wymazać z pamięci. Mój ukochany dziadek, prawie słaniając się na nogach, rzucający wulgarnymi wyzwiskami i tłukący do krwi moją najwspanialszą babcię. Płakałam, krzyczałam, błagałam, aby dziadek przestał. Ale nie przestał. Do dziś czuję się przez ten bezsensowny akt przemocy straumatyzowana. Czułam ból, lęk, bezsilność, totalną bezradność dziewięcioletniego dziecka w obliczu przemocy dorosłego mężczyzny, wymierzonej w jego żonę. Pijany bełkot, buzujący agresją testosteron, fizyczne i psychiczne krzywdzenie najbliższych wryły się już na zawsze w moją osobowość.

Gwoli ścisłości, mama wyszukała sobie drugiego męża na wzór agresywnego ojca. Dominatora, brutala, który bywał miły wyłącznie, gdy się napił. Wódka go rozluźniała, przemocowy był wyłącznie na trzeźwo – ot, taki jego wątpliwy urok. W domu panowała ciężka atmosfera. Od razu po przekroczeniu progu wiadomo było, czy pan i władca jest w domu – wtedy było nieznośne napięcie i oczekiwanie na wybuch krzyku i poniewierania mamą i dziećmi, ich wspólnymi i mamy z pierwszego małżeństwa. Tu nie było bicia do krwi – były permanentne wrzaski, popychanie i szarpanie mamy.

Co się dzieje w domu…

Jestem pewna, że nie tylko ja z podobnym bagażem udałam się do kina studyjnego na seans „Domu dobrego” Wojtka Smarzowskiego. Nie jest przypadkiem, że w prawie pełnej sali jakieś 80 proc. osób to były kobiety, zwykle w wieku średnim i starsze. Takie, które znają życie i zagrożenie, jakim mogą być dla nich mężczyźni, zwłaszcza partnerzy czy mężowie.

Bo przemoc domowa to pandemia gorsza niż koronawirus, który skądinąd – przez zamknięcie ludzi w domach – jeszcze powiększył jej skalę. Skalę, którą ignorują politycy, zwłaszcza ci zbratani z klerem, a media odnotowują tylko, gdy ktoś kogoś zabije – co skądinąd zdarza się całkiem często… Wtedy pojawia się pytanie, jak mogło do tego dojść, ale potem wszystko wraca na stare tory i tematem nie interesuje się pies z kulawą nogą.

Kiedy terroryści albo przestępcy (np. podczas napadu na bank) biorą zakładników, ludzie czu-

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Polacy rzucili się na hiszpańskie Costa del Sol jak szarańcza na pole pszenicy. „El Economista” alarmuje: „Polacy kupują Costa del Sol!”. W tym roku wykupili już 3170 nieruchomości, więcej niż w całym 2023. Słońce, taniocha i brak wojny – oto, co kręci naszych rodaków. Awansowaliśmy na ósme miejsce wśród zagranicznych inwestorów na Półwyspie Iberyjskim. Hiszpanie rzekomo nas lubią, a to z wdzięczności za krew Waltera przelaną w wojnie z frankistami. Dziękujemy, generale Świerczewski.

▮ Koniec świata! Nie ma już dokąd uciekać! Hiszpania pęka w szwach od Polaków, a tu nagle szok: rodacy wracają z emigracji! W 2024 r. powrót zaliczyło 19,5 tys. osób, czyli o 30 proc. więcej niż rok wcześniej. Niemcy przecierają oczy: więcej Polaków wyjeżdża z ich kraju, niż do niego przybywa. Wygląda na to, że Polska stała się tak rajska, że nawet ci, co uciekli, wracają z podkulonym ogonem. Trochę szkoda. Do tej pory była nadzieja, że gdzieś za kanałem, za oceanem, czeka lepszy świat. A teraz co? Okazuje się, że uciec nie ma dokąd. Raj jest tutaj, tylko trzeba to jakoś przeżyć.

▮ W projekcie budżetu państwa na 2026 r. zapisano, że samorządy otrzymają łącznie 87,7 mld zł w formie subwencji i dotacji, czyli o ok. 6,7 proc. więcej niż rok wcześniej. Z tej kwoty: 52,7 mld zł przypadnie na subwencję ogólną, 35,06 mld zł na dotacje dla zadań bieżących i inwestycyjnych. Najwięcej pieniędzy trafi do gmin – ok. 23,27 mld zł. Według szacunków NBP inflacja w 2025 r. wyniesie 4,1 proc., co oznacza, że w ujęciu realnym samorządy zyskają zaledwie 2,6 proc. Krótko mówiąc, więcej złotówek, ale niekoniecznie dużo więcej pieniędzy.

▮ Rada Miasta Opola zdecydowała, że prezydent Arkadiusz Wiśniewski dostanie pięcioprocentową podwyżkę, choć – jak sam podkreśla – wcale o nią nie zabiegał. Efekt? Skromne dodatkowe 700–800 zł na rękę. Za było 20 radnych, przeciw – trzech. Prezydent przypomniał przy okazji, że jego pensja to „zaledwie 10–11 tys. zł netto”, a przecież odpowiada za budżet ponad 2 mld zł i kilkaset etatów. Radni uznali więc, że przy takiej skali odpowiedzialności nie wypada żyć „za grosze”. Podwyżka została uchwalona – rzecz jasna – bez jakichkolwiek sugestii, próśb czy nacisków ze strony zainteresowanego. Po prostu spontaniczny wybuch lokalnego humanizmu. Opole: miasto, w którym empatia do prezydenta rodzi się sama.

▮ Sąd w Nysie uniewinnił byłego burmistrza Paczkowa Bogdana Wyczałkowskiego. Prokuratura twierdziła, że ten podpisał lewe papiery, żeby kuzyn zgarnął 800 tys. zł na remont. Burmistrz się bronił, że podpisał nieświadomie, bo mu podwładny podłożył. Sąd uwierzył, że Wyczałkowski „działał niedbale, ale bez zamiaru”. Prokuratura się oburza, bo uważa, że burmistrz powinien wiedzieć, co podpisuje. No cóż, są granice wolności słowa, których przekraczać nie wolno. Nawet prokuraturze! A może zwłaszcza prokuraturze?

▮ W Zakopanem jak to w Zakopanem, ktoś postanowił zrobić interes życia, oczywiście cudzym kosztem.



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

eprasa.pl bfc461547d

om dobry”

Romantyczni terroryści



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

się oburzeni. I są pełni empatii i życzliwości wobec zakładników, zdając sobie sprawę, że każdy może mieć pecha i znaleźć się w nieodpowiednim miejscu i nieodpowiednim czasie, musieć ulec przemocy ze strony innych, często uzbrojonych w broń palną. Niestety, powszechna życzliwość wobec ofiar kończy się, gdy mamy do czynienia z „romantycznymi terrorystami”, czyli sprawcami przemocy w relacjach romantycznych, intymnych, czy też – choć to słowo nie chce mi przejść przez gardło – partnerskich.

Wiadomo. Może ona – bo to przeważnie jest ona, choć zdarza się inaczej, a od tej formy przemocy nie są też wolne związki jednopłciowe – go sprowokowała? Skądinąd te słowa padają w „Domu dobrym” raz po raz, czy to ze strony policjanta, czy to ze strony adwokatki Grześka, domowego kata, granego brawurowo przez Tomasza Schuchardta. No i to są sprawy domowe, a jak powiada porzekadło ludowe, które nieraz słyszałam w dzieciństwie: nie mów nikomu, co się dzieje w domu. Rodzina jest święta, zwłaszcza połączona węzłem małżeńskim, jak się przysięgało w kościele przed Bogiem, że będzie się z kimś, „dopóki śmierć nas nie rozłączy”, słowa trzeba dotrzymać.

Inna rzecz, że jak on bije, to czemu ona nie odejdzie? Może jej się to podoba? I jak tu wytłumaczyć ludziom, że moment odejścia od partnera jest szczególnie niebezpieczny dla życia i zdrowia odchodzącej, bo sprawca widzi, że jego ofiara wymyka mu się z rąk?

Australijskie badaczki Sharon Hayes i Samantha Jeffries swój tekst naukowy „Romantyczny terroryzm? Relacje ofiar na temat psychologicznych i emocjonalnych taktyk przemocy domowej” zaczynają od stwierdzenia, że terroryści operują w ich kraju na co dzień. Niewinne kobiety są torturowane, przetrzymywane, a nawet zabijane każdego dnia przez ludzi, którzy używają lęku i zastraszania, aby je kontrolować. Rzecz jednak w tym, że owe kobiety doznają krzywd ze strony tych, których kochały lub kochają, partnerów lub byłych partnerów, toteż nieczęsto się o tym mówi. A władze państwowe – które wszak podejmują bardzo konkretne działania wymierzone w terrorystów politycznych czy terror kryminalny – wobec sprawców terroru domowego robią niewiele lub zgoła nic.

Wielką wartością filmu „Smarzola” jest przyjęcie perspektywy ofiary, Gośki (świetnie zagranej przez Agatę Turkot). To ona jest bohaterką tej opowieści. Jak nie bez racji wyjaśniał w rozmowie z PAP Schuchardt: „Trzeba czasami tworzyć bohaterów, których nie da się obronić. Ale oni mają inne zadanie. W przypadku naszego filmu chodziło o to, żeby główna bohaterka miała się od czego odbijać, mogła wydobywać z siebie emocje, które będą jak najbliższe prawdziwym sytuacjom, na podstawie których powstał też scenariusz. Żeby to wszystko wyszło wiarygodnie, wydaje się, że ta druga strona, czyli przemocowa, musi być również niebezpieczna. I to było moje zadanie”.

Bolesna prawda

„Dom dobry” to opowieść o tym, ile bólu człowiek jest w stanie znieść ze strony najbliższej osoby. A w filmie w sposób brutalny są ukazane wszystkie cztery podstawowe formy przemocy w relacjach intymnych: fizyczna, psychiczna, ekonomiczna i seksualna. Nie wiem, czy widzom można było oszczędzić chociaż niektórych scen gwałtów Grześka na żonie. Wiem jednak, że oskarżenia reżysera o tzw. *torture porn* są zupełnie bezpodstawne. Myślę, że dużym nieporozumieniem byłoby, gdyby zostawił tu jakieś niedopowiedzenie, brak dosłowności, umowność czy metaforę. Nie. Widzimy brutalne sceny gwałcenia kobiety ukazane na granicy tego, co można w ogóle pokazać szerokiej publiczności.

Rozumiem doskonale, czemu wielu mężczyzn, nawet nie oglądając „Domu dobrego”, protestuje przeciwko temu, co w nim ukazano. Tym bardziej że Grzesiek to facet z pozoru na poziomie: wykształcony, oczytany, zajmujący się biznesem i polityką, dobrze ustosunkowany w swoim mieście. No i Smarzowski jest jak piącha waląca w ryj tych wszystkich, którzy twierdzą, że w „dobrych” (czyli należących do klasy średniej albo wyższej) domach takie rzeczy nie mają miejsca. A romantyczny terroryzm jest do bólu egalitarny – równie dobrze może odbywać się w scenerii pijackiej meliny, co w szacownych willach miejscowych elit.

„Dom dobry” świetnie obrazuje mechanizm poddania ofiary totalnej kontroli ze strony oprawcy. Zaczyna się zwykle na pozór niewinnie, od niby to drobnych uwag dotyczących np. stroju kobiety czy tego, że nie służy jej kontakt z innymi ludźmi, którzy „są toksyczni”. I tak krok po kroku osacza się swą zdobycz, która jest wpatrzona w domowego kata niczym ptak w kobrę przed atakiem.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Film jest też oskarżeniem społeczeństwa, w którym niewiele się robi, aby zapobiec niewyobrażalnemu złu, a instytucje powołane do ochrony przed nim – począwszy od policji i opieki społecznej – są w najlepszym razie bezsilne, w najgorszym sprzymierzają się ze sprawcą, jeśli jest to osoba na stanowisku. „Kto ci uwierzy?” – pyta retorycznie Grzesiek, a Gośka wie, że nawet jeśli będzie gromadziła dowody przemocy ze strony męża, to przecież mogą one w dziwnych okolicznościach „zaginąć” na komisariacie policji.

Na marginesie, różne badania sondażowe prowadzone przez badaczki feministyczne jednoznacznie pokazały, że

spory odsetek policjantów i prokuratorów lekceważy przemoc domową, umniejsza ją, a nawet twierdzi, że w małżeństwie nie może dojść do gwałtu – wszak każdy wie, że dawanie dupy na zawołanie to uświęcony tradycją obowiązek żony.

„Dom dobry” nie jest z pewnością filmem idealnym, ale jest bezsprzecznie najważniejszym – obok „Kleru” i „Wesela” – dziełem Smarzowskiego. To produkcja trudna, odpychająca, budząca odrazę. Ale widać tu doskonałe przygotowanie do omawianej tematyki, wiarygodność przedstawianych wydarzeń, oddanie meandrów umęczonej torturami duszy ofiary, manipulatorskie zachowania sprawcy, którego można spokojnie nazwać największą kanalią dekady w polskiej kinematografii. Psychopatycznym sadystą, którego ciężko zapomnieć. Obawiam się, że przynajmniej jak do tej pory jest to rola życia Schuchardta – ale nie jest jasne, czy mu tego gratulować, czy może raczej współczuć.

„Dom dobry” to film, który powinno zobaczyć jak najwięcej osób. Wiem, że go absolutnie nigdy nie zobaczę drugi czy kolejny raz, bo byłoby to dla mnie zbyt dużym obciążeniem psychicznym. Oglądanie go sprawiało wręcz fizyczny ból. Nie było jednak jątrzeniem ran sprzed lat, lecz raczej chirurgicznym otwarciem ich celem oczyszczenia, aby mogły się w końcu zagoić.

Jeśli okaże się, że choć jeden widz Smarzowskiego pod wpływem filmu już nie będzie podgłaśniać telewizora, gdy za ścianą jego domu będą się toczyć rodzinne tragedie przemocy domowej, lecz zainterweniuje, to praca ekipy filmowej nie poszła na marne…

KAT

Ponad 50 rodzin zapłaciło za apartamenty z widokiem na Tatry, a dostało widok na stan surowy zamknięty, który od trzech lat niszczeje. Mieszkań nie ma, aktów własności nie ma, są za to straty liczone w milionach. To jest prawdą tylko połowiczną, bo skoro miliony zniknęły, to ktoś je przecież „odnalazł”. Ponad 80-letni pan Adam oddał stuletni dom w zamian za trzy mieszkania. Dziś ma tylko górę gruzu i żadnego z obiecanych lokali. Biuro dewelopera zamknięte, a podawany adres od lat nieaktualny. Nic nowego. Po prostu Zakopane.

▮ Od 13 listopada każdy, kto lata dronem ważącym więcej niż ćwierć kilo, musi mieć OC. Brak polisy? Kara 4 tys. zł, czyli prawie tyle, co sam dron. OC pokrywa szkody wyrządzone osobom trzecim, więc jeśli dron spadnie komuś na głowę, zapłaci ubezpieczyciel. Ale jeśli rozbijesz własny sprzęt – sorry, taki mamy klimat. W Polsce jest ponad 400 tys. operatorów dronów. To więcej niż górników i rolników razem wziętych. Latanie dronem stało się sportem narodowym. A teraz najlepsze: suma gwarancyjna wynosi 50 tys. SDR. Co to jest SDR? Międzynarodowa jednostka rozrachunkowa wymyślona przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy. Dlaczego akurat w SDR? Bo prawo lotnicze tak mówi. Dlaczego nie podano w złotówkach jak normalnie? Tego już nie wyjaśniono.

▮ Ministerstwo Obrony Narodowej ogłosiło sukces. Program szkoleń proobronnych „wGotowości” cieszy się ogromnym zainteresowaniem. Aż 10 tys. zgłoszeń w tydzień! Wygląda na to, że Polacy masowo rzucili się do wojska. A może po prostu nie mają nic lepszego do roboty? Największym powodzeniem cieszą się kursy cyberhigieny, pierwszej pomocy i bezpieczeństwa. Wszystko dla mięsa armatniego. Najwięcej chętnych w dużych miastach. Warszawa, Kraków, Wrocław, Łódź, Trójmiasto. Wygląda na to, że w miastach żyją sami patrioci albo samobójcy. Pilotaż programu potrwa od 22 listopada do 14 grudnia. Krótko, ale wystarczająco, żeby zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie w mundurze. Wygląda na to, że Polska przygotowuje się do wojny. Albo przynajmniej do defilady. Tak czy inaczej, mięso armatnie będzie wyszkolone. A przynajmniej będzie miało taką nadzieję.

▮ Wojsko Polskie odebrało ostatnią partię 20 czołgów Black Panther z bratniej i niemal sąsiadującej z nami Korei – raptem 8 tys. km w jedną stronę. O tym z dumą poinformował wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz. Od przyszłego roku rusza realizacja kolejnego kontraktu, następne 180 Panter, w tym około 60 w wersji „spolonizowanej”. To prawdopodobnie oznacza, że instrukcja serwisowa nie będzie już po koreańsku, a tabliczki znamionowe będą po polsku, o ile Koreańczycy zdążą nauczyć się naszych „ą” i „ę”. Do tego dorzucą 80 pojazdów wsparcia. Nasze siły pancerne mają już 615 czołgów: 180 koreańskich, 202 amerykańskie i 233, w których jeździła ukochana sojusznicza Bundeswehra. To oczywiście sufit strategicznej głupoty i całkowitego zaniku rozsądnego myślenia.

▮ Na granicy z Białorusią w Podlaskiem powstaje druga bariera. Czterometrowy płot budowany przez wojska inżynieryjne. Prace mają zakończyć się do końca stycznia lub najpóźniej na początku wiosny. Nowa zapora ma zatrzymywać migrantów, którzy zdołają sforsować pierwszą, pięciometrową barierę. Obok konstrukcji pojawią się także dwa zwoje drutu kolczastego. Czekamy już tylko na trzecią i czwartą zaporę. Mam szczerą nadzieję, że dożyję czasów, kiedy będą te bariery rozbierać, i że ci, którzy dziś je wznoszą, będą wtedy żyć, by wysłuchać od własnej młodzieży wykładu o tym, jakich głupot dopuścili się ich przodkowie.

▮ W Gdańsku kolejna akcja „policja ratuje, jak zwykle, po swojemu”. Facet chciał się zabić, to wezwali policję. Samobójca rzucił się na policjanta z piłą japońską. Taki tasak, tylko ostrzejszy. Chciał go zabić, ale trafił tylko w ramię. Policjant odpowiedział strzałem. Ale samobójcy nie zabił, choć chciał tego on oraz sam zainteresowany. Obaj ranni trafili do szpitala, które – jak wiemy – mają pełne ręce roboty. Podręcznikowy przykład, jak działa polska policja. Za co się nie wezmą, to spierdolą. Lepiej, żeby się za nic nie brali, dla swojego i naszego bezpieczeństwa.

▮ W Toruńskim Liceum Ogólnokształcącym 18-letni uczeń zaatakował 62-letnią nauczycielkę podczas lekcji informatyki. Uczeń uderzył kobietę kilkakrotnie po tym, jak zwróciła mu uwagę na źle wykonane zadanie. Nauczycielka z urazem głowy i rozciętą wargą trafiła do szpitala. Policja zatrzymała ucznia. Liceum, w którym doszło do ataku, przedstawia się jako „miejsce przyjazne i doświadczone w pracy z uczniami o specjalnych potrzebach edukacyjnych”.

▮ Podczas polowania na dziki w gminie Milejów, na łąkach w rejonie Wieprza, w sąsiedztwie pól z kukurydzą, doszło do tragedii. Myśliwy zamiast dzika upolował 68-letniego mężczyznę. Mimo ofiarnej walki lekarzy pacjent wykrwawił się na śmierć. Policja zatrzymała 50-letniego strzelca wyborowego. Prokuratura prowadzi śledztwo w sprawie nieumyślnego spowodowania śmierci. Pierwsze wnioski? Jak zwykle: „To na pewno nie był dzik – tłumaczy się zabójca – no bo przecież dziki nie chodzą po łąkach w rejonie Wieprza, w sąsiedztwie pól z kukurydzą”.

▮ Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau ogłosiło kolejny etap Projektu Bezpieczeństwa: w latach 2026–2028 powstanie nowe, trzymetrowe ogrodzenie z paneli kratowych wokół terenu byłego obozu Auschwitz II Birkenau, wzdłuż ulic Ofiar Faszyzmu i Leśnej, połączone z istniejącą infrastrukturą. Oficjalnie chodzi o zwiększenie bezpieczeństwa odwiedzających i ochronę obiektów historycznych, choć muzeum nie wyjaśnia, przed kim dokładnie ma chronić płot w miejscu, które samo w sobie jest największym symbolem odgrodzonego horroru XX w. Warto przy okazji przypomnieć, że na liście światowego dziedzictwa UNESCO obok Auschwitz znajdują się w Polsce również Zamek Krzyżacki w Malborku – największa ceglana twierdza gotycka świata – oraz wrocławska Hala Stulecia. Oba wybudowane przez Niemców. Dziękować czy ubolewać?

RJ

PS Informacje pozyskano z lokalnych publikatorów gminnych oraz innych źródeł o niezweryfikowanej wiarygodności. Z uwagi na ich potencjalną podatność na zafałszowania uprzejmie przepraszamy za możliwe „artefakty diagnostyczne” w przekazie. Jednocześnie, działając w trybie pełnej aseptyki odpowiedzialności, nie wykazujemy objawów jakiegokolwiek związku przyczynowego pomiędzy treścią tych doniesień a naszą redakcją ani współpracownikami terenowymi.

eprasa.pl bfc461547d

Pozory mają mylić

Komisja płynie Łodzią

Prekursor na różnych polach kard. Grzegorz Ryś ogłosił, że w archidiecezji łódzkiej powstała komisja historyczna do spraw zbadania przypadków nadużyć seksualnych od 1945 r. Okrzyknięto to krokiem odważnym i nowatorskim, choć coś podobnego już istnieje w diecezji sosnowieckiej – „Komisja Wyjaśnienie i Naprawa Spraw Wrażliwych Diecezji Sosnowieckiej". Sosnowiec ma szczególne miejsce na polskiej mapie kościelnej, rzecz oczywista, ale nie odbierajmy bepe Arturowi Ważnemu palmy pierwszeństwa w robieniu czegoś, albo przynajmniej udawaniu, że coś robi.

Samodzielnie posłuszni

Łódzki kardynał rodem z Krakowa (istotne) na konferencji prasowej zaprezentował skład komisji i przedstawił ramowe założenia jej działalności. Wielokrotnie podkreślał niezależność zespołu, co samo w sobie stanowiło ciekawy obrazek: Ryś przemawiał pierwszy i opowiadał co



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

będą robić ludzie, których powołał, i jak bardzo będą od niego niezależni, a oni posłusznie przytakiwali. Skład na pierwszy rzut oka wydaje się w porządku. Jest więc sędzia Sądu Apelacyjnego w Łodzi, historyk, psycholożka-seksuolożka i dziennikarz od kontaktu z mediami. Ale jak poskrobać, to ta niezależność nie równa się wcale całkowitej odrębności i nieznajomości z kardynałem. Ot, choćby pani psycholog działa jako pomoc psychologiczna przy delegacie biskupa ds. ochrony dzieci i młodzieży. Rzecznik prasowy to dyrektor Radia Plus Łódź, które – choć kapitałowo niepowiązane z archidiecezją – jest radiem komercyjnym o profilu katolickim, a sam dyrektor prowadzi na YouTubie kanał obsługujący medialnie wydarzenia z życia łódzkiego Kościoła.

Ryś wszelako zapewnia, że komisja będzie miała pełną swobodę w wertowaniu akt archiwalnych, także tych tajnych. Każdy z członków może powołać swoich współpracowników wedle uznania, władze diecezji nie będą ingerować w prace. Kardynał w swoim wystąpieniu powołał się na przykład komisji francuskiej, która wyliczyła, że ok. 3 proc. tamtejszego kleru była sprawcami przestępstw seksualnych. Wyliczył, że jeśli na jego terenie będzie tak samo, oznacza to, że z łódzkiej szafy wypadnie ok. 50 trupów. Komisja dopiero rozpoczyna swoją działalność, koniec prac przewiduje się na za kilka lat. Wtedy też powstanie i zostanie opublikowany raport.

Dał nam przykład Bonaparte

– Celem komisji jest raport opracowany na koniec jej działania. Ten raport będzie opublikowany. No i celem oczywiście jest spotkanie z osobami skrzywdzonymi. Skład poznaliście, więc prosiłem pana doktora Michała Kłosa, którego bardzo cenię jako prawnika, żeby stanął na czele tej komisji, i jestem przekonany, że jego obecność też gwarantuje tej komisji i kompetencje, i rzetelność, i niezależność. Zresztą tak jak znam osoby, które się zgodziły na pracę w tej komisji, to są osoby bardzo, wszystkie osoby są bardzo kompetentne i niezależne z ducha – chwalił swoje dzieło metropolita. Pozostaje mieć nadzieję, że przewodniczący łódzkiej komisji będzie miał takie samo podejście jak jego francuski odpowiednik Jean-Marc Sauvé. W wywiadzie dla KAI mówił on: „W tym przypadku Kościół ponosił odpowiedzialność instytucjonalną, ponieważ nie dostrzegał i nie słyszał sygnałów pochodzących od ofiar, gdy kierowano do niego konkretne sprawy. Nie zajmował się nimi skutecznie, a zatem nie chronił dzieci. Doszliśmy zatem do wniosku, że Kościół katolicki ponosi odpowiedzialność zarówno prawną, jak i moralną. I że nawet jeśli cywilne i karne okresy przedawnienia zostały przekroczone, Kościół powinien uznać swoją odpowiedzialność za każdą z ofiar, które się do niego zwróciły, i powinien, w miarę możliwości, naprawić wyrządzone szkody i krzywdy".

Wszystko to brzmi zbyt pięknie, żeby mogło być prawdziwe, jeśli się choć trochę zna praktykę polskiego Kościoła kat. Dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane i nawet jeśli członkowie komisji biorą tę robotę z czystymi intencjami, to w trakcie prac mogą się zdziwić.

Kardynał Ryś jest mistrzem marketingu wokół siebie, czasem wychodzi przed szereg episkopatu i zadziwia otwartością i odwagą, które koniec końców okazują się zasłoną dymną.

Organizując komisję, metropolita łódzki ewidentnie chce się odróżnić od reszty biskupów, którzy nie mogą się dogadać w sprawie komisji ogólnopolskiej.

Niezależni od prawdy

No i przede wszystkim Ryś sam jest historykiem oraz pochodzi z Krakowa. Swoim biskupem pomocniczym uczynił go w uznaniu zasług sam Stanisław Dziwisz. Jakie to zasługi? A choćby prace w trakcie procesów beatyfikacyjnego i kanonizacyjnego Wojtyły. Gdy w 2023 r. zrobiła się afera wokół JP2 po reportażach w TVN24, wówczas jeszcze arcybiskup opowiadał: – Komisja historyczna powołana w Krakowie zajmowała się dokumentami z krakowskiego okresu kard. Karola Wojtyły. Pracowało w niej dwóch historyków: ks. prof. Jacek Urban, który jest aktualnie dyrektorem archiwum kurii metropolitalnej w Krakowie, i ja, wtedy byłem dyrektorem archiwów kapituły katedralnej na Wawelu.

Podczas spotkania z łódzkimi licealistami zapewniał z kolei: – Ja nie mam wątpliwości, że papież – jeśli będzie się przeprowadzać poważne, przyzwoite badania historyczne tak, jak tego wymaga warsztat, to nie mam cienia wątpliwości, że papież się obroni. Nie mam ani cienia wątpliwości! Natomiast debata publiczna, która toczy się, jest obracaniem ciągle tych samych faktów, które są bardziej faktami medialnymi niż rzeczywistymi.

Może to dawać pewne pojęcie o tym, jak powinności komisji historycznych rozumie Grzegorz Ryś. Dodatkowym smaczkiem jest to, że odpowiedzialnym za stworzenie ogólnopolskiej komisji ds. badania pedofilii kleru jest bepe Sławomir Oder, który, zanim został biskupem, był postulatorem procesów robienia z Wojtyły świętego. Postulator to osoba odpowiedzialna za przygotowanie i przebieg procesu – zbiera świadectwa, dokumenty i raporty, choćby takie od komisji Rysia. U papieża wszystko wyszło na piątkę z plusem, „santo subito" stało się ciałem. Oder ma spore szanse zastąpić Jędraszewskiego jako arcybiskup krakowski, czyli siąść na tronie ongiś należącym do Wojtyły. Jeszcze jakieś wątpliwości co do rzetelności kościelnych komisji?

MATT KOBOSKO

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego złożyło pozew przeciwko należącej do ojca Tadeusza Rydzyka Fundacji Lux Veritatis. Sprawa dotyczy umów zawartych z fundacją w czasach rządów PiS. W 2018 r. kierowane przez Piotra Glińskiego MKiDN wydało blisko 206 mln zł na utworzenie Muzeum „Pamięć i Tożsamość" w Toruniu. Jak wykazała kontrola NIK, przy realizacji inwestycji doszło do szeregu nieprawidłowości. W umowie znalazł się m.in. zapis, że w przypadku likwidacji muzeum fundacja nie będzie zobowiązana do zwrotu nakładów poniesionych przez ministerstwo. Teraz resort zawnioskował o unieważnienie umów zawartych przez Glińskiego z Rydzykiem i domaga się zwrotu 210 mln zł z odsetkami na rzecz skarbu państwa.

✚ Powstaje thriller „Santo Subito!", który pokaże kulisy procesu beatyfikacyjnego papieża Polaka z nowej perspektywy. Obraz w reżyserii Bertranda Bonello skupia się na postaci ojca Josepha Murolo, którego zadaniem jest znalezienie dowodów na podważenie świętości papki Jana Pawła II. W trakcie śledztwa Murolo przeprowadza rozmowy z najbliższymi współpracownikami papieża i stopniowo gubi się w moralnym labiryncie, co wystawia na próbę jego własną wiarę. Zapraszamy reżysera na konsultacje do redakcji. Z thrillera będzie mógł zrobić kasowy horror.

✚ Z końcem listopada ruszy proces księdza Ryszarda G. z diecezji sosnowieckiej, któremu prokuratura zarzuca molestowanie dziewczynek na kościelnych koloniach. 54-letni Ryszard G. jest jednym z trzech czynnych duchownych zatrzymanych w związku z pedofilią w wielowątkowym śledztwie prokuratury, która bada nadużycia kleru w diecezji. Z aktu oskarżenia wynika, że chodzi o ubiegłoroczne kolonie parafialne we Włoszech. Będący pod wpływem alkoholu klecha miał dotykać pośladków jednej z dziewcząt i próbować ją całować. Kolejną ofiarę miał chwycić za pierś, wodzić dłonią po jej udach i użyć wobec niej siły, kiedy próbowała się oswobodzić. Pedofilowi postawiono zarzut przestępstwa o charakterze seksualnym, usiłowania zmuszenia pokrzywdzonej do określonego zachowania oraz przestępstwo przeciwko wolności seksualnej i obyczajności. Ostatni z czynów zagrożony jest karą od pięciu lat do dożywotniego pozbawienia wolności.

✚ Prokuratura Rejonowa w Jarocinie skierowała do sądu akt oskarżenia przeciwko byłemu proboszczowi parafii w Żerkowie, zarzucając mu psychiczne znęcanie się nad wikarym, 31-letnim księdzem Robertem Olejnikiem, który w czerwcu ubiegłego roku skutecznie targnął się na życie. Z materiału dowodowego opartego na zeznaniach parafian i byłych współpracowników duchownego oraz analizie korespondencji zmarłego wynika, że ks. Jarosław G. krytykował wikarego, wyśmiewał jego wygląd i odsuwał go od obowiązków, co miało doprowadzić do jego załamania. Prokurator wnioskował o zastosowanie wobec duchownego środków izolacyjnych, jednak sąd nie uwzględnił tego wniosku. Klecha mobber nie przyznaje się do winy.



Rys. OBYWATEL JANEK

✚ Sąd Okręgowy w Ostrołęce rozpatrzy apelacje prokuratora oraz obrońcy księdza Mirosława T. skazanego na karę pierdla w związku ze spowodowaniem wypadku, w którym ucierpiała 16-letnia dziewczyna. Do zdarzenia doszło w lutym 2021 r. w miejscowości Dudy Puszczańskie, gm. Łyse. Kierujący hondą duchowny spowodował wypadek drogowy i uciekł, nie udzieliwszy pomocy rannej nastolatce. Dziewczyna doznała licznych obrażeń ciała, które biegli ocenili jako realnie zagrażające życiu. Klecha został zatrzymany kilkanaście dni później. W październiku 2024 r. duchowny został skazany na karę czterech lat i dwóch miesięcy więzienia. Ksiądz ma również zapłacić pokrzywdzonej 60 tys. zł tytułem zadośćuczynienia. Prokurator Rejonowy w Ostrołęce uznał wyrok za niski i domaga się sześciu lat pierdzenia w pasiak oraz orzeczenia środka karnego w postaci podania wyroku do publicznej wiadomości. Odwołanie od wyroku pierwszej instancji złożył także obrońca oskarżonego.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

Mecz wart jest mszy

Prezydencki kapelan nie zapomina o korzeniach

Gdy Karol Nawrocki obejmował urząd, zwracano uwagę na jego kapelana Jarosława Wąsowicza. Niektórzy oburzali się, że w ogóle taka funkcja istnieje, ale nawet za Kwaśniewskiego ksiądz był w pałacu, a nawet dwóch, po jednym na kadencję. Obaj zresztą ze stajni abepe Głódzia, lubianego z wzajemnością przez część eseldowskiego establishmentu. Zazwyczaj prezydenccy kapelani trzymali się w cieniu, a w mediach można było ich uświadczyć od wielkiego dzwonu, np. gdy opowiadali, jak się świętuje Boże Narodzenie na dworze głowy państwa czy tego typu pierdoły. Ks. Wąsowicz zmienia paradygmat funkcjonowania przyprezydenckiego klechy, podobnie jak sam Nawrocki zmienia reguły prezydentury. Kibolska przeszłość daje się obu we znaki, tak że bywa i śmieszno, i straszno.

Wąsowicz jest bardzo aktywny. Swoje aktywności, przynajmniej te oficjalne, dokumentuje w mediach społecznościowych. Ciągle u kogoś gości albo gości kogoś u siebie, wręcza, przyjmuje, przemawia, odprawia. Każdy chce mieć z nim fotę, bo to przecież tak, jakby znać samego prezydenta. Szczególne miejsce w kalendarzu ks. Jarosława zajmują mecze. Chodzi na nie zawsze z szalikiem, nie porzucił dawnych zwyczajów. Mecze reprezentacji Polski traktuje z wielkim nabożeństwem, to przecież jakby jego sztandarowa uroczystość. Wąsowicz, biorąc fuchę u Nawrockiego, nie przestał być kapelanem kibiców, oni zaś ciągle mają go za swojego.

Prezydencki szaman bardzo się zagotował po tym, jak na mecz Polska–Holandia nie pozwolono wnieść flagi wielkoformatowej mającej stanowić oprawę sektorową spotkania. Kibice i pisowcy uznali to za akt polityczny – antypolskie siły nie chcą patriotycznych symboli, pewnie woleliby tęczowe. Chłopcy po prostu nie zgłosili wcześniej, że wniosą taką kobyłę na stadion i ze względów bezpieczeństwa ich nie wpuszczono, ale cóż szkodzi zrobić z siebie męczennika. Stadionowi bywalcy tak się obruszyli, że na murawę poleciały race i trzeba było przerwać mecz na kilka minut. Incydent rozgrzał środowisko kibolskie, uznano go za sygnał do rozpoczęcia kolejnej batalii z Tuskiem spod hasła: „Donald matole, Twój rząd obalą kibole!". Prezydent i jego środowisko nie hamują tego zapału, wręcz przeciwnie, subtelnie zagrzewają do walki.

Kapelan Wąsowicz się nie certoli i bez cienia żenady staje po stronie swoich duchowych synów ze stadionu. Na Facebooku wrzucił post: „Będzie troszkę długo. Chciałem podziękować chłopakom, którzy włożyli mnóstwo serca, czasu i środków finansowych w przygotowanie oprawy i dopingu na wczorajszym meczu. Szacunek. Szkoda Waszej pracy, szkoda ludzi, których nie wpuszczono na stadion, których bezsensownie przetrzymywano godzinami przy wejściowych bramkach, w tym dzieci i starsze osoby. Tak to wyglądało, taki ma styl »uśmiechnięta« koalicja. Precz z komuną!". Dalej zaś zacytował wersję kibiców w sprawie niewpuszczenia flagi na stadion.

Padre walczy z komuną na wielu frontach, bo ona jest – jak się okazuje – wszędzie. W ramach tej walki prezydent wyświetlił internowaną oprawę stadionową na pałacu prezydenckim. Akt wielkiej odwagi – drukowanie ulotek na powielaczu to przy tym weekend w SPA. A zatem na siedzibie głowy państwa pojawiła się kibolska iluminacja z hasłem „DO BOJU POLSKO!". I żeby to jeszcze, kurwa, ładne było. Ale ta odpustowa, kiczowata estetyka, najwyraźniej się głowie państwa i jego aureoli podoba. „Nie było możliwości na stadionie, jest na Pałacu Prezydenckim. To nie jest sztuczna inteligencja, to się dzieje! Do boju Polsko!" – tak podpisał ks. Wąsowicz zdjęcie, na którym pozuje z wyświetlonym na pałacu obrazkiem. No i skucha, bo ten obrazek jest właśnie ewidentnie wygenerowany przez sztuczną inteligencję poinstruowaną przez natchnionego Sebę wyklętego.

Wąsowiczowi mało kiboli, ciągle poszerza swoje emploi. Na Fejsie pochwalił się, że udzielił wywiadu miesięcznikowi dla myśliwych „Brać Łowiecka".

W rozmowie zauważa pokrewieństwo między kibicami, myśliwymi, a także ludźmi wierzącymi. Otóż są to grupy podobnie nierozumiane, prześladowane i wyśmiewane przez upadły świat, który psa traktuje lepiej niż dziecko.

„Warto zachęcać, szczególnie młodych, do angażowania się w ruchy i środowiska, które są dziś atakowane, bo jeśli są atakowane, to możemy mieć pewność, że idą dobrą drogą" – filozofuje ksiądz kapelan. Kto następny do objęcia opieką duszpasterską? Patostreamerzy? Dilerzy? Alfonsi?

MK

eprasa.pl bfc461547d

To my, Polacy

Czyli chamy i debile

Stowarzyszenie Kibiców Reprezentacji Polski „To My Polacy” prowadzi od tego roku zorganizowany doping podczas meczów piłkarskiej reprezentacji. Dotychczas było fajnie, choć oczywiście nie idealnie, bo stadion to nie Filharmonia Narodowa i obowiązują tam trochę inne zasady. Podczas meczu na Stadionie Narodowym z Holandią okazało się, że zorganizowany doping nie ma nic wspólnego nie tylko z filharmonią, ale w ogóle z kulturą. Było tak, jak gdyby stowarzyszenie chciało pokazać innym (mecz był transmitowany do wielu krajów), że my, Polacy, jesteśmy chamami i debilami.

Zaczęło się od tego, że nie wpuszczono na stadion oprawy w postaci potężnej sektorówki (baner rozwijany nad głowami wielu widzów) przedstawiającej groźnie spoglądającego Orła Białego z rozpostartymi skrzydłami i napisem: „Do boju Polsko!”. Niby nic groźnego. Ale po pierwsze sektorówka była niezgłoszona organizatorom, a po drugie mogła posłużyć za skrytkę do wnoszonej na stadion pirotechniki. Do końca nie wyjaśniono, czy zakaz wprowadziły służby porządkowe, czy PZPN, ale raczej ten drugi. O dziwo tym razem wśród winnych pominięto nazwisko prezydenta miasta stołecznego Rafała Trzaskowskiego.

Mecz z racami

Polacy pozbawieni sektorówki zajęli miejsca na krzesełkach i do drugiej połowy meczu zachowywali się poprawnie. W 60. minucie poleciały zapalone na boisko race, a z trybun odezwało się skandowanie: „Miała, kurwa, być oprawa, teraz pali się murawa!”. W ten sposób stowarzyszenie pokazało wszem i wobec, że my, Polacy, jesteśmy chamami. A przy okazji debilami. Sędzia zatrzymał mecz, dopóki race nie zostały ugaszone. Przerwanie meczu to większe przestępstwo niż obraźliwa treść sektorówki, np. pokazująca, jak biały orzeł gwałci czarną dziewczynkę. Za sektorówkę grozi federacji kara finansowa, za przerwanie meczu stadion może być zamknięty.

Jeszcze nie rozpoczął się ostatni mecz eliminacji mistrzostw świata z Maltą, a już miejscowe służby zatrzymały kilku polskich kibiców. Powód oczywisty: alkohol. Nieodzowny rekwizyt polskich fanów obok rac i chamskich okrzyków.

Naprawdę chciałoby się napisać coś dobrego o polskiej reprezentacji. Od kiedy objął ją trener Jan Urban, nareszcie nie musimy się za nią wstydzić. Na boisku zapanował porządek, widać konkretną myśl taktyczną, a piłkarze wkładają w grę serce. Nawet trudno wyróżnić któregokolwiek z futbolistów, bo na słowa pochwały zasłużyli wszyscy.

Dwukrotny remis z Holandią, jak by nie patrzeć jedną z czołowych drużyn Europy, jest cennym osiągnięciem. Powinien być świętowany przez zebranych na stadionie kibiców. Zamiast tego mówi się o tym, co zrobili ludzie zrzeszeni w „To My Polacy”. Jeśli chcieli pokazać, że my, Polacy, jesteśmy chamami i debilami, to udało się im bez cienia wątpliwości.

Przestałem lubić polski futbol, od kiedy barczyste typki z wygolonymi głowami i tępymi wyrazami twarzy zdominowały trybuny. Nawet jeśli nie liczebnie, to na pewno grupy te stały się najgłośniejsze, co gorsza przenikają do władz klubów, które albo się ich boją, albo powiązane są z nimi na inne sposoby.

Bóg gra w piłkę

Zrodziło się coś, co nazwać można kulturą kibolską, o ile słowo „kultura” jest w tym miejscu właściwe. Prawdziwy kibol musi być nacjonalistą, nienawidzić Żydów, Murzynów, homoseksualistów i komunistów, a ostatnio także liberałów. Nie po drodze mi z takim towarzystwem.

Szczególnie piłka nożna, choć inne sporty także, pogłębia nacjonalistyczne podziały na „my” i „oni”. Wokół niej dochodzi także do ustawek i innych ekscesów. W środowiskach nacjonalistycznych coraz powszechniej uprawia się sporty walki. Pan prezydent Karol Nawrocki wyrasta na uwielbianego przez kiboli przywódcę. W końcu sam brał udział (w każdym razie nie zaprzeczał tej informacji) w jednej z najgłośniejszych ustawek, w której 70 bandziorów spod znaku Lechii Gdańsk starło się z taką samą liczbą podobnych im fanatyków Lecha Poznań.

Mamy prezydenta, który co drugie zdanie powtarza o potędze naszego narodu, krzyczy zamiast mówić, gloryfikuje kult siły fizycznej. Filmik w mediach społecznościowych pokazujący Nawrockiego walczącego z cieniem w sali bokserskiej błyskawicznie osiągnął 2 mln wyświetleń. Na Stadionie Narodowym podczas meczu z Finlandią, gdy prezydent pojawił się na trybunie, zgotowano mu owację, przerywaną tylko okrzykami obrażającymi Donalda Tuska. Podobnie dzieje się na meczach ligowych Lechii Gdańsk. Co ciekawe, temu samemu klubowi kibicuje Donald Tusk, swego czasu był nawet wiceprezesem tamtejszego stowarzyszenia sympatyków, ale kibicowska kultura zmieniła się tak bardzo, że premier nie miałby czego szukać na stadionie Lechii. Tusk jako Kaszub, a nie czysty Polak, i rzekomy zwolennik niemieckiej ekspansji na wschód, w ogóle nie ma prawa zasiadać na trybunie stadionu. Chciałoby się wołać: „Ludzie, opamiętajcie się, zostawcie futbol w spokoju, niech politycy zmagają się na argumenty w sejmie albo w telewizji!”. Nie będą chcieli słuchać.

W głowach młodych ludzi zapanował totalny chaos, w którym wszystko się pomieszało: patriotyzm, nacjonalizm, prawicowe poglądy, nienawiść do innych, kult siły i mocnego przywódcy; dochodzi do tego jeszcze Bóg, którego łączy się z honorem, ojczyzną i piłką nożną. Jeśli chodzi o Boga, to na pierwszym miejscu znajduje się nienależąca do Świętej Trójcy Matka Boża, królowa Polski. Co roku kibice pielgrzymują do Częstochowy. W klasztorze na Jasnej Górze odbywa się ceremonia łącząca elementy religijne z obyczajami stadionowymi, a głównym jej elementem jest święcenie klubowych sztandarów. Kazania i przemowy mają tego dnia niewiele wspólnego z miłością bliźniego.

Struktury mafijne

Wiele osób mówiących i piszących o sporcie ułatwia sobie zadanie, wprowadzając podział na kibiców i kiboli, choć granica między tymi grupami jest bardzo nieostra. Kibice według tych definicji to ludzie w sposób kulturalny zagrzewający do boju swoich ulubieńców, a kibole zajmują osobne trybuny i to tam znajdują ujście pseudopatriotyczne i nacjonalistyczne poglądy. Pseudokibice bardzo często tworzą przestępcze grupy, nawet o charakterze mafijnym, czego najlepszym przykładem jest krakowska Wisła, gdzie swego czasu przeniknęli do władz klubu. W wielu klubach, choćby w Legii Warszawa czy Jagiellonii Białystok (przy okazji, gratulacje dla Jagiellonii, która stale podnosi poziom sportowy), właściciele lękają się kiboli i gotowi są na wszelkie wobec nich ustępstwa. W rzeczywistości obie grupy – kibiców i kiboli – często łączą się i trudno określić, gdzie kończy się jedna, a zaczyna druga.

Kibicowskie czy pseudokibicowskie struktury są trudne do zlikwidowania. Ich członków łączy nie tylko przywiązanie do klubu, wspólne interesy – zazwyczaj handel narkotykami – ale też wyznawane poglądy polityczne. Te poglądy to przede wszystkim antykomunizm, cokolwiek to słowo miałoby oznaczać, przekonanie o wyższości własnego narodu i białej rasy nad innymi, podobnie jak klubu, któremu się kibicuje – nad pozostałą stawką w ligowej tabeli.

Długo pseudokibice (z braku lepszego posługiwać się będę stale tym terminem), mieli kłopot z odnalezieniem swego politycznego przywództwa. Pamiętam rzetelne i szczegółowe badania przeprowadzone w 2017 r. Spodziewano się, że partią, której ideologia najbardziej spodoba się stadionowym pseudokibicom, będzie Prawo i Sprawiedliwość. A gdzie tam! Najwięcej ankietowanych, bo aż 24 proc., popierało wtedy partię (czy też ruch) Kukiz’15. Na drugim miejscu znalazła się partia Wolność Janusza Korwin-Mikkego (19 proc.), na trzecim – Ruch Narodowy (16,5 proc.), a – używając sportowego określenia – dopiero pierwsze miejsce poza podium zajęło Prawo i Sprawiedliwość (13,3 proc.). Świeższych równie rzetelnych danych nie znam.

Konfederacja bierze kiboli

Od tego czasu sporo się zmieniło. Teraz sprawa jest już prosta. Konfederacja razem ze swoimi odłamami zagarnęła rozproszone głosy. Prezydent Nawrocki, choć wysunięty i popierany w wyborach przez PiS, wyrasta na przywódcę tego towarzystwa. Myślę, że musi to być wielkim zmartwieniem dla Jarosława Kaczyńskiego, ale czego by on i jego doradcy nie wymyślali, żoliborski dziadek nie będzie stadionowym idolem, choćby nie wiem jak złorzeczył Niemcom, Tuskowi, Unii Europejskiej i modlił się żarliwie do Matki Boskiej.

Co ciekawe, gwiazda Konfederacji, jedna z niewielu niewiast dopuszczanych tam do telewizji, czyli Ewa Zajączkowska-Hernik, potępiła nie kiboli, którzy zakłócili mecz, ale tych, którzy nie wpuścili Stowarzyszenia „To My Polacy” z sektorówką na stadion. Stwierdziła, że najpierw ścigano polskich patriotów, którzy korzystali z rac podczas Marszu Niepodległości, a teraz nie chcą wpuścić polskich kibiców z patriotyczną oprawą na stadion, tylko dlatego, że powiedzieli kilka słów prawdy o władzy. Nie wiem, czy dlatego, czy ze względów bezpieczeństwa. Widocznie pani Ewa wie lepiej. W każdym razie od tego ciągłego powtarzania słowa „patriotyzm” robi mi się niedobrze.

Wychowywany byłem w bardzo patriotycznej rodzinie. Dziadek dosłużył się Orderu Virtuti Militari w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 r., ojciec przeżył pięć lat w obozach koncentracyjnych Neuengamme i Buchenwald, bo jako Polak z rodziny mieszkającej w naszym kraju od XVII w. odmówił podpisania volkslisty. Od najmniejszego byłem uczony szacunku do biało-czerwonych barw, do białego orła, choćby jeszcze bez korony, stawania na baczność podczas odgrywania Mazurka Dąbrowskiego. Pani Ewa Zajączkowska-Hernik, powtarzając swoje brednie o patriotyzmie, w przyśpieszonym tempie robi ze mnie kosmopolitę.

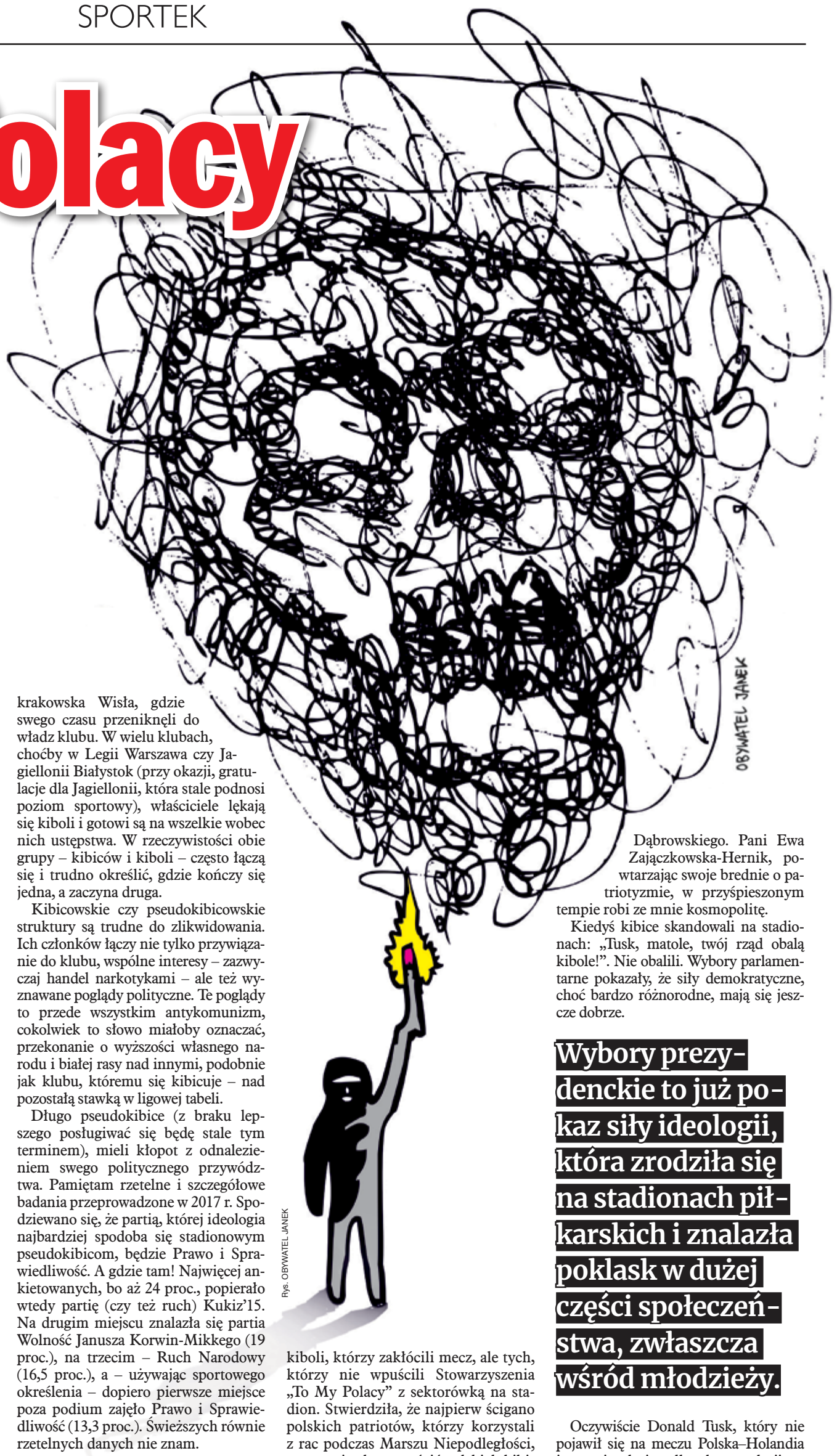
Kiedyś kibice skandowali na stadionach: „Tusk, matole, twój rząd obalą kibole!”. Nie obalili. Wybory parlamentarne pokazały, że siły demokratyczne, choć bardzo różnorodne, mają się jeszcze dobrze.

Wybory prezydenckie to już pokaz siły ideologii, która zrodziła się na stadionach piłkarskich i znalazła poklask w dużej części społeczeństwa, zwłaszcza wśród młodzieży.

Oczywiście Donald Tusk, który nie pojawił się na meczu Polska–Holandia i ograniczył się tylko do gratulacji na swojej stronie internetowej, nie odpuszcza. Dzień po meczu z Finlandią na murawie Stadionu Narodowego zagrały dziewczęta i chłopcy w ramach akcji „Z Orlika na stadion”. Puchary wręczał premier w towarzystwie ministra sportu. Piękna akcja, ale z punktu widzenia piaru politycznego bliska zeru, choćby nagłaśniały ją TVN i inne sprzyjające obecnej władzy telewizje.

Obawiam się, że w najbliższych wyborach parlamentarnych dorobimy się rządu, który zalecać będzie patriotyczne rzucanie zapalonych rac na murawę podczas meczów naszej reprezentacji piłkarskiej, a walki bokserskie wprowadzone zostaną jako obowiązkowy element lekcji wychowania fizycznego.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl



NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 19.11.2025 r.

eprasa.pl bfc461547d

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

– Sabotaż, sabotaż… – mruczał przez sen prezes Kaczyński.

Czuwający przy jego kozetce poseł Sasin odpowiedział machinalnie: – Tak, sabotaż. Akt dywersji. Krecia robota. Dezorganizacja, destabilizacja, destrukcja.

Kaczyński obudził się nagle. Powoli, żeby nie dostać udaru, przysiadł na brzegu leżanki i rzekł: – Znasz bardzo dużo rzeczowników na de.

– Degrengolada, dekadencja, dekompozycja – dodał Sasin, dumnie wypinając pierś.

– Sabotaż. – Prezes zatopił się w myślach.

– Że niby Ruscy tory wysadzają nam w powietrze?

– Ziobro – odparł Kaczyński. – Ziobro to sabotaż. Katastrofa.

– Klęska, koszmar, klops, koniec świata. – Gra w słówka najwyraźniej się Sasinowi spodobała.

– Do końca miałem nadzieję, że wróci z Budapesztu…

– Z Budapesztu, Bukaresztu, Brukseli, Bratysławy, Berna i Bagdadu.

– Dość tego! – Prezes podniósł głos. – Nie gramy w „Państwa-miasta" ani w pelotę, ani w paintball, polo czy pétanque.

– W co?

– W nico! Rozmawiamy o Ziobrze, który sprawia, że nasze notowania lecą na łeb na szyję, a notowania tego, którego imienia wymawiać nie wolno, rosną jak na drożdżach. Musimy wymyślić coś, żeby odwrócić te tendencje. Masz jakiś pomysł?

• • •

Dwie godziny później w biurze Kaczyńskiego pojawił się człowiek z futerałem na skrzypce.

– Polecony przez Wąsika – przedstawił gościa Sasin. – Może być naszym lekarstwem na Ziobrę.

– Lekarstwem? – W głosie prezesa zabrzmiała nuta podejrzliwości.

– Antidotum, panaceum, remedium…

Przybysz uśmiechnął się znacząco, a potem ostrożnie otworzył futerał, w którym – jak dostrzegł Sasin – nie było skrzypiec ani zresztą żadnego innego instrumentu muzycznego.

– Co to jest? – zaniepokoił się Kaczyński.

– Składany karabin snajperski Brügger und Thomet – odpowiedział gość.

– Niemiecki?! – zawołał prezes. – W żadnym razie! Nie ma mowy, żebyśmy w naszych działaniach politycznych posługiwali się niemieckimi narzędziami. Przecież Niemcy chcą nam zabrać państwo.

– Spoko, panie prezesie – uspokoił snajper. – To szwajcarska zabawka.

– Helwecka… – szepnął Sasin.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją



AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA miała jeszcze cień nadziei, że nie wybiorą Czarzastego na marszałka sejmu. **JOANNA SENYSZYN** dawno wyrosła z naiwności.

Wołk-Łaniewska: – Opowiem ci, co teraz czytam...

Senyszyn: – No jak to co? Moją autobiografię!

– Ależ oczywiście. Ale to oczami i muszę przy biurku, bo mam tylko w komputerze. Za to przed snem słucham autobiografii Anthony'ego Hopkinsa czytanej przez Kennetha Branagha.

– A dlaczego Hopkins sam nie czyta swojej autobiografii? Ja swoją będę…

– On tego nigdzie nie wyjaśnia wprost, ale podejrzewam, że uznał, że jeśli chodzi o taką podróż w głąb pamięci – to raz wystarczy. Książka zatytułowana jest z wdziękiem: „We Did Ok, Kid"…

– Jak zgaduję, zaraz mi powiesz, do jakiego „dzieciaka" on to mówi?

– Do siebie. Do swojego zagubionego paroletniego „ja" z czasów wojennych, którego zapewnia, że „daliśmy radę, dzieciaku". Albo: „wyszło nam to nieźle, dzieciaku"…

– To ci powiem, że to taki niewyszukany chwyt retoryczny.

– To prawda. Ale opowiadam ci to głównie dlatego, że rzucił mi się w oczy ogromny kontrast między tymi dwoma autobiografiami – Hopkinsa i twoją – zwłaszcza w opisie tych najmłodszych lat. Bo u ciebie czuć radość życia na każdym etapie. A Hopkins spędził pierwsze lata – dekady – w stanie konfuzji, beznadziei, wyobcowania i generalnego wkurwienia.

– I co się stało, że mu się zmienił ten parszywy stan ducha?

– Przestał pić i odnalazł boga.

– Fascynujące…

– No wiem. Też mnie to nieco sfrustrowało. To, że przestał pić – szczęścia, zdrowia, może już swoje wypił – ale czy musiał w zabobon od tego popadać? Strasznie mi to komplikuje obraz, bo kocham faceta i kategorycznie sobie nie życzę widzieć w nim dewota…

– A skoro już jesteśmy przy dewocie: słyszałaś pierwszą obietnicę marszałka Czarzastego?

– Tę o krzyżu?

– Skąd wiedziałaś?

– Bo cię znam trochę. Mnie ta jego enuncjacja lekko zniesmaczyła w powodzi innych, bardziej paskudnych (piszę o tym w numerze), ale pomyślałam sobie: Joanna to się szczerze zeźli.

– Ależ oczywiście. Bo Czarzasty oblał pierwszy marszałkowski egzamin: mógł uwolnić salę sejmową od nielegalnie powieszonego tam krzyża, ale tego nie zrobi, bo jest Dudą Tuska i szefowi KO nie podskoczy. To typ, który służalczość i uległość wobec silniejszych rekompensuje sobie podłością wobec słabszych.

– Ale nominacja Siwca na szefa Kancelarii jest – przyznasz – przejawem niejakiej niezależności. Zwłaszcza w kontekście krzyża. Wszak Siwiec przeszedł do historii obrazą uczuć religijnych…

– Mnie ta nominacja cieszy. Choć nie wiem, jak ten dowcipny, błyskotliwy facet wytrzyma z nadętym Czarzastym. W kwestii obrazy, o której wspomniałaś – bo może Czytelnicy zapomnieli – w 1997 r. Marek Siwiec po wyjściu z helikoptera całował ziemię kaliską. Jakiś Pietrowicz z Komitetu Obrony Praw Ludzi Wierzących podał go parę lat później do sądu za znieważenie papieża-Polaka i obrazę uczuć religijnych, bo ortodoksyjni katolicy lubią nękać ateistów bezpodstawnymi procesami, ale zazwyczaj mają spóźniony zapłon. Ten też się spóźnił z donosem, ale i tak sprawa ciągnęła się 10 lat; ostatecznie została umorzona. Uważam, że Marek powinien zostać uniewinniony, bo przecież każdy ma prawo cieszyć się, że szczęśliwie wylądował. Taki na przykład Miller z Jakubowską nie całkiem szczęśliwie. Ale jak usłyszałam o Siwcu przy Czarzastym, taka naszła mnie kopernikowska refleksja: jeden krzyż trzyma, drugi całuje ziemię, chyba nie to samo ich wydało plemię.

– To samo, to samo… Żeby zacytować posła Czarnka: PZPR. Co jest jedyną dobrą rzeczą, którą mam do powiedzenia o nich obu. Zobaczymy, czy Siwiec zachował swoje niezależne poczucie humoru. Nie wiem, dawno z nim nie rozmawiałam, bo on się do mnie nie odzywa jakoś tak od dekady.

– A dlaczegóż to?



Ilustr. PAWEŁ FERENC

– A bo napisałam o nim, iż „miał opinię skurwysyna, którą się cieszył". Co, uczciwie mówiąc, miało być formą komplementu, ale on to jakoś inaczej zrozumiał… Wracając do Czarzastego: otóż jak Czarzasty wyszedł na marszałkowską konferencję prasową i zaczął z takim zadęciem tokować o dystansie…

– O czym, bo nie słuchałam zbyt uważnie?

– O „dystansie". On w każdym wystąpieniu ogłasza ze trzy razy, że „ma dystans". Co jest skądinąd dowodem na to, że go nie ma – kolejnym po tym, jak się ślinił do tego marszałkowskiego fotela. Ludzie, którzy naprawdę mają dystans – do świata, polityki, własnej kariery – nie czują konieczności chwalenia się tą swoją dojrzałością na każdym kroku. Czarzasty jest jak ci faceci, których znałam za młodu: co to zapraszają cię na kolację i przy każdym daniu mówią, że nigdy nie zdradzają żony. I już przy zupie zaczynasz się zastanawiać, czy koleś chce przelecieć ciebie, czy sypia z którąś z twoich przyjaciółek…

– Bardzo ciekawe porównanie.

– Dla ścisłości: nie sugeruję, że Czarzasty chciał mnie przelecieć. Oświadczam i proszę zanotować: nigdy nie chciał. Wracając wszakże do uczuć, które on we mnie budzi…

– Robi się ciekawie…

– Otóż obudził we mnie smutek. Nutę nostalgii za czymś, co przemija, i łapiesz się na tym, że będzie ci tego brakowało. Trzy pierwsze dni tygodnia spędzam z telewizorem w tle: puszczam Tefałen albo Polsat bez głosu i jak coś się dzieje, to włączam głos. I przez ostatnie dwa lata, jak widziałam marszałkowską konferencję Hołowni, to zawsze włączałam, bo wiedziałam, że powie coś zabawnego. A teraz się będę dwa lata męczyć z tym bucem i jego dystansem…

– Nie przesadzajmy, że było tak zabawnie. Faktycznie na samym początku poczuliśmy powiew nowości, ale potem Hołownia spowszedniał, a po kolacji z prezesem to już wszyscy mieli go dość. A dystans do siebie ma taki, jak i Czarzasty, czyli żaden. Jak każdy narcyz na stanowisku, mają przewrócone we łbie i klakierów wokół siebie. Z Czarzastym łączy go i to, że obaj woleli być wicemarszałkiem niż wicepremierem, ale to pewnie kwestia kompetencji.

– Albo pracowitości: wicemarszałków jest pięciu, sejm obraduje pięć dni w miesiącu, w sumie taki koleś ma do przepracowania mniej niż jeden dzień miesięcznie. Za to jak jesteś wice-Tuskiem to zapierdalasz na okrągło i jeszcze Donald tobą pomiata… À propos Donalda: czy zachwycił cię, jak dzielnie stanął w obronie ojczyzny, jak się tory wypuczyły pod Garwolinem?

– Ty sobie żartujesz, a ja byłam szczerze przerażona. Bardziej niekompetencją służb niż samą nieudolną dywersją. Co to w ogóle znaczy, że policja czekała ze śledztwem całą noc, aż się rozwidni, bo po ciemku nic nie widziała? A przede wszystkim: jak można było dopuścić do przejazdu przez uszkodzone tory ośmiu pociągów? Mogły zginąć setki ludzi. I nie słyszę, żeby to zaniechanie było badane i żeby wyciągnięto jakieś konsekwencje.

– A ja uważam, że nie mogły zginąć i cała ta histeria służy tylko utrwalaniu w ludziach strachu, bo przerażonym społeczeństwem łatwiej rządzić. Technologia wysadzania torów znana jest od dość dawna, Armia Krajowa opanowała ją do perfekcji w roku 1942 na okoliczność akcji „Wieniec". Gdyby Ruscy chcieli wykoleić pociąg – to by go wykoleili. Ale oni nie mają w tym żadnego interesu – mają go za to w sianiu paniki i dezintegracji społeczeństwa. A Tusk tańczy dokładnie tak, jak mu zagrają.

– „Dzisiaj wszyscy w Polsce, obywatelki i obywatele, politycy, naukowcy, przedsiębiorcy, wszyscy bez wyjątku wstajemy rano i kładziemy się wieczorem spać z jedną myślą: czy Polska jest i będzie bezpieczna?" – mówił na kongresie „Nauka dla biznesu" w środę. Niniejszym oświadczamy, że jesteśmy Polkami i ani rano, ani wieczorem nie nurtuje nas myśl o bezpieczeństwie Polski, albowiem uważamy, że zagrożenia są wydumane przez polityków, żeby przytulić 200 mld rocznie na obronność.

– Amen.

senyszyn@wp.pl, wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl bfc461547d